

·PAX·

STOWARZYSZENIE
CIVITAS CHRISTIANA
ODDZIAŁ W NOWYM SĄCZU

ISSN 1232-5910

ALMANACH SĄDECKI



R. V
NR 3 (16)

DRU KAR NIA

drukarnia



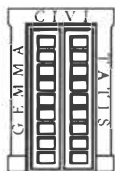
PPHU "BAD" s.c.
ul. Gwardyjska 37
33-300 Nowy Sącz
tel. 41 28 25

Konto: B.S. Nowy Sącz
237839-136-61

ŚWIADCZY USŁUGI W ZAKRESIE DRUKU:

ulotek reklamowych, folderów,
metek, etykiet, naklejek,
papierów firmowych,
kalendarzy, plakatów,
metek samoprzylepnych,
opakowań kartonowych
(wielkość ograniczona)

AA



STOWARZYSZENIE
CIVITAS CHRISTIANA
ODDZIAŁ W NOWYM SĄCZU

·PAX·

ALMANACH SĄDECKI

R. V NR 3 (16)



Nowy Sącz 1996

Almanach Sądecki (kwartalnik)
Wydawnictwo Stowarzyszenia Civitas Christiana
w Nowym Sączu
ul. Ks. Kard. Stefana Wyszyńskiego 3
tel. (018) 43 81 52



Redakcja: Marek Basiaga
Leszek Migrała — red. naczelny
Stanisław Pażucha

Projekt okładki: Barbara Magierowa

Skład komputerowy: BIKER
Nowy Sącz, tel./fax (018) 42 81 61

Druk: S.C. „BAAD”
Nowy Sącz, ul. Gwardyjska 38, tel. (018) 41 28 25

SZKOŁA PODSTAWOWA NR 9 IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI W NOWYM SĄCZU — ZARYS DZIEJÓW

I. Początki

W bieżącym roku mija dziewięćdziesiąt lat od powołania do życia szkoły, która służyła dzieciom dzielnic Dąbrówka Polska, Dąbrówka Niemiecka i Bielowice. Jak w kropli wody, tak i w dziejach tej placówki oświatowej przewija się historia nie tylko tych dzielnic czy miasta Nowego Sącza, lecz również Polski.

Inspektor szkolny okręgowy, **Leon Barbacki**, powołał tę szkołę do życia w 1906 roku. Od 1 września tegoż roku otwiera swoje podwoje dla okolicznych dzieci i nosi nazwę Szkoła Ludowa 1–klasowamieszana. Nauka była zorganizowana według szkoły 4–klasowej typu wyższego. Na początku uczyło trzech nauczycieli i jeden katecheta. Działała przy niej Rada Szkolna w składzie: Ks. Infułat **Alojzy Góralik**, **Wojciech Rysiek** — delegat Rady Powiatowej, **Ludwik Samborski** — kierownik szkoły, **Jan Decker** — delegat Dąbrówki Niemieckiej, **Michał Giza** — delegat Dąbrówki Polskiej, **Józef Giza** — zastępca członka.

W następnym roku kierownictwo szkoły objął **Jakub Roman** i doszedł czwarty nauczyciel. Rok 1908 okazał się bardzo ważny dla rozwoju szkoły, gdyż Rada Szkolna zakupiła parcelę gruntową pod budynek szkolny i rozpoczęły się starania o wystawienie budynku. W maju 1909 r. Rada Szkolna Krajowa dała 34 000 koron na budowę szkoły. Resztę pieniędzy na wybudowanie i urządzenie zobowiązały się dać tutejsze gminy.

Bardzo ważną sprawą dla nauczycieli okazało się założenie sadu i ogrodu szkol-

nego. Prace w tym kierunku trwały od 1909 do 1911.

Budowę samego budynku rozpoczęto 23 marca 1910 r. Prowadził ją przedsiębiorca **Jan Krajewski** z Nowego Sącza, kierownikiem budowy był inż. **Borkowicz**. Zanim wybudowano szkołę, już w styczniu Rada Szkolna Krajowa przekształciła szkołę na 4-klasową typu wyższego. W sierpniu kierownik szkoły przeprowadził się do mieszkania mieszczącego się w nowym budynku. 1 września 1911 r. naukę rozpoczęto w nowym budynku, który został poświęcony. Wybudowano też oficynę dla stróża szkolnego, którym został **Jędrzej Tarasek**. W tym też roku powstała piąta klasa i równoległa pierwsza, tzw. paralelka.

Kronika szkoły prowadzona od samego początku jej istnienia przekazuje wiele informacji o zmianach nauczycieli, udzielaniu im urlopów dla poratowania zdrowia czy też odbycia kursów specjalistycznych. Nawet jest informacja o dochodzeniu dyscyplinarnym przeciw nauczycielowi z powodu „*niemoralnego prowadzenia się*”.

II. W niepodległej Polsce.

W czerwcu 1914 roku przyspieszono koniec roku z powodu panującej szkarlatyny. W sierpniu nauczyciele zostali zmobilizowani, a budynek przeznaczono na cele wojskowe. We wrześniu rozpoczęto naukę w wynajętych salach, gdyż w budynku był szpital wojskowy. 19 listopada wkraczają do tutejszej gminy wojska rosyjskie, które pozostawiły po sobie wiele zniszczeń. W grudniu wkraczają wojska austriackie, ale budynek dalej służy wojsku. Dopiero 7 czerwca 1915 r. rozpoczyna się w nim nauka i kończy 7 sierpnia z zaliczeniem całego roku. Lecz ponownie wojska (32. pp obrony kraju) zajmują budynek i dopiero 29 listopada 1915 r. rozpoczyna się nowy rok szkolny.

Jednak już 22 marca 1916 r. budynek zajęty na koszary wojskowe. Nauka odbywa się bez przerwy w wynajętych pomieszczeniach. Ten rok szkolny zakończono 22 lipca. Nowy rozpoczyna się od 4 września i z małą przerwą w lutym z powodu braku opału, trwa do 28 czerwca 1917. W następnym roku też szkoła ma za mały opału, więc ogrzewa tylko 4 sale, a nauka trwa na dwie zmiany; rano uczą się kl. VI, V, IV, III a, po południu III b, II, I a i I b. Specjalnie wyliczamy ilość klas, aby wykazać, że były to liczne klasy, nie łączone, nawet dwuoddziałowe.

Zima nie tylko utrudniała tok nauki, ale też zbierała swoje ofiary. 2 maja umiera na gruźlicę płuc kierownik szkoły Jakub Roman. Aby uczcić jego pamięć, nauczyciele zakładają bibliotekę dla młodzieży jego imienia. Na zakończenie roku rozdawano nie tylko świadectwa, ale też „*zawiadomienia i nagrody pilności*”.

Nowy rok szkolny rozpoczął się 2 września, lecz w październiku wybucha epidemia „hiszpańskiej grypy”, czyli grypy. Choroba ta ogarnęła tak uczniów, jak i na-

uczycieli. Zmarł z jej powodu ks. katecheta **Walenty Bogacz**. Doszło do tego, że szkołę musiano zamknąć na jakiś czas z powodu epidemii.

Mimo tych nieszczęść trwa nieopisana radość, gdyż 7 października 1918 r. Rada Regencyjna w Warszawie proklamuje wolne, niepodległe, zjednoczone państwo polskie. W szkole odbyła się z tego powodu podniosła uroczystość. W dniu 11 listopada 1918 r. po ponownym otwarciu szkoły, usunięto z klas III i IV naukę języka niemieckiego, a uzyskane w ten sposób godziny przeznaczono na „ *pogłębienie nauki języka polskiego i historii polskiej*”. W dniu 23 listopada grono tutejszej szkoły składa przyrzeczenie na wierność państwu polskiemu. Obliczono szkody poniesione przez szkołę z powodu wojny na 5 802 k.

Pierwsze wybory do sejmiku w wolnej ojczyźnie odbyły się w budynku szkoły. Nie myślaro tylko o sobie. Uczniowie zebrali 132 k dla dzieci z Lwowa, który był oblężony przez Ukraińców. Dostrzeżono również ciężką sytuację materialną nauczycieli polskich. Polska Komisja Likwidacyjna przeznaczyła nauczycielom żonatym pensje po 200 k, a samotnym po 100 k. W kronice szkolnej znajdziemy również informację, że 14–17 kwietnia 1919 r. odbył się „Sejm nauczycielski”, który powołał „Związek Nauczycielstwa Szkół Powszechnych”. Szkoła tutejsza uczestniczyła również w składkach na polską pożyczkę państwową i zbiórce srebra jako bezzwrotny dar na polski Skarb Narodowy.

W rocznicę Konstytucji 3 Maja, obchodzoną uroczystie, przywrócono w tutejszej szkole założone w 1913 r. przez **Franciszka Milówkę** Koło TSL i Czytelnię Polską im. T. Kościuszki.

W lipcu 1919 r. do tutejszej szkoły przyjeżdża lwowska kolonia wakacyjna. Jest to 40 dzieci ze szkół ludowych i zajmują 5 sal, a na podwórku szkolnym wybudowana kuchnia polowa. Przebywali tu 50 dni.

Rok szkolny 1919/20 rozpoczął się dopiero 15 września z powodu ogólnego braku żywności. Ale z nastaniem mrozów wyłoniła się potrzeba opału. Kierownik szkoły Franciszek Milówka zwrócił się do okolicznych rodzin robotniczych, aby złożyli dobrowolne składki węgla. Tę prośbę chętnie spełniono, mimo tego, że sami mieszkańcy mieli go mało. W mieście Nowy Sącz w tym czasie szkoły były zamknięte z powodu braku opału. W dniu 15 listopada otworzono kuchnię przy szkole z „*da-rów amerykańskich*”, z której korzystało 500 dzieci od 3–15 lat za niewielką opłatą.

W grudniu 1919 r. Rada Szkolna Krajowa nakazała wprowadzić ujednoliconą pisownię polską we wszystkich szkołach małopolskich. W marcu z powodu epidemii tyfusu plamistego zamknięto szkołę na 4 tygodnie.

W sierpniu 1920 r. zajmują budynek szkolny uchodźcy ze wschodniej Małopolski, z powodu inwazji wojsk bolszewickich. Nauka rozpoczyna się dopiero 4 paź-

dziennika po opuszczeniu budynku przez uchodźców. W tym też roku 21 września zmarł założyciel tej szkoły inspektor szkolny Leon Barbacki (na czerwonkę).

Nowy rok szkolny 1921/22 przyniósł wiele zmian. Ministerstwo W. R. i O. P. wprowadziło nowe programy nauczania. Nie ma już Rady Szkolnej Krajowej, tylko Kuratorium okręgu szkolnego lwowskiego przejmuje rządy nad szkołami małopolskimi.



Nowy Sącz. Szkoła VII. klasowa im. Tadeusza Kościuszki. 1925 r.

10 listopada 1923 r. Dąbrówka Niemiecka została wcielona do miasta Nowego Sącza. W obrębie miasta otrzymała nazwę dzielnicy Dąbrówka. Sprawy szkolne uregulowane zostały w umowie zawartej między kierownikiem szkoły F. Milówką a gminą Nowy Sącz. W dniu 25 listopada Rada Szkolna Miejskowa uchwaliła, że szkoła będzie odtąd nosić nazwę „Szkoła Powszechna im. Tadeusza Kościuszki w Nowym Sączu”. Liczyła 11 nauczycieli i jednego katechetę. Po roku, 12 grudnia 1924, Kuratorium mianowało szkołę jako publiczną 7-klasową Szkołę Powszechną im. T. Kościuszki w Nowym Sączu. Życie w szkole się normuje. Początek i koniec roku ma zawsze uroczysty charakter uświetniony występami dzieci. Czcą się także ważne rocznice państwowe, np.: 900-lecie koronacji króla Bolesława Chrobrego, czy sprowadzenie zwłok Juliusza Słowackiego do kraju.

Szkoła boryka się z trudnościami kadrowymi z powodu chorób nauczycieli. Brak pieniędzy na zastępstwa powoduje, że nauczyciele uczą na tych godzinach za darmo. Z inicjatywy kierownika szkoły zorganizowano po raz pierwszy święto sadzenia

drzew. Posadzono 180 drzew — jabłoni, wzdłuż ul. Węgierskiej aż do granic Biegonic. Uczniowie szkoły brali udział w uroczystym powitaniu prezydenta państwa **Ignacego Mościckiego**, który 21 października 1928 r. przybył, aby poświęcić sztandar 1. pułku strzelców podhalańskich.

Zima na początku 1929 r. była bardzo sroga, mrozy dochodziły do -47° w Nowym Sączu i dlatego też podjęto decyzję o zamknięciu szkół.

Wraz z nowym rokiem szkolnym 1929/30 wprowadzono nowe udogodnienie w szkole — zainstalowano oświetlenie elektryczne. A od listopada tego roku ulice Dąbrówki też zostały oświetlone światłem elektrycznym.

Z powodu nędzy i bezrobocia ludności osiedla, Komitet Rodzicielski postanowił dożywiać 30 dzieci. Kryzys dotyka również i nauczycieli, którzy muszą pracować do 34 godz. dydaktycznych za swoich chorych kolegów bez godzin nadliczbowych płatnych. Klasy są łączone i tak np.: kl. III łączone liczą 91 dzieci, a do klasy I w 1932 r. przyjęto 60 dzieci!

W czasie wakacji w 1933 r. przeprowadzono gruntowny remont budynku szkolnego. Podzielono największą salę na dwie i w ten sposób uzyskano gabinet lekarski. Wszystkie klasy otrzymały nowe ławki.

W lipcu 1934 r. nawiedziła Małopolskę katastrofalna powódź. Zniszczyła ona pola należące do szkoły, a w budynku szkoły umieszczono powodzian. Z dniem 31 stycznia 1935 r. po 36, 5 latach pracy odszedł w stan spoczynku kierownik szkoły Franciszek Miłówka. Na jego miejsce powołano **Jana Ruchałę**.

18 maja 1935 r. uczniowie wysłuchali transmisji radiowej z pogrzebu marszałka Polski **J. Piłsudskiego**.

III. W mrokach okupacji niemieckiej

Już 6 września 1939 r. wojska niemieckie wkroczyły do Nowego Sącza. Kierownik tutejszej szkoły wycofał się na wschód, dlatego władze niemieckie powołały tymczasowo na kierownika szkoły **Józefa Gronia**. Już w listopadzie następuje zmiana, kierownikiem szkoły został **Stefan Dubiel**. Zajęcia szkolne często były wstrzymane z powodu braku opału. Na rok szkolny 1940/41 wpisano 420 uczniów. Dnia 15 lipca wojsko zajmuje budynek szkolny. Nakazano szkole kolejowej oddać sale dla uczniów naszej szkoły, którzy uczyli się tam popołudniami w okrojonym tygodniowym wymiarze zajęć. Wykluczono katechetów z grona pedagogicznego i zakazano im uczestnictwa w konferencjach. Wojsko zajęło też i szkołę kolejową, dlatego nauka została przerwana. Nastąpiła zmiana na stanowisku kierownika szkoły. Od 1 grudnia został nim **Leopold Mikołajewski**.

7 stycznia 1941 r. wszyscy nauczyciele zostali zmuszeni do złożenia oświad-

czenia o lojalności wobec władz niemieckich. Od 13 listopada 1941 r. szkoła nosi nazwę Miejskiej Szkoły Powszechnej nr 9 w Nowym Sączu. Uczniowie tej szkoły uczą się w szkole przy ul. Długosza — 4 razy w tygodniu po 4 lekcje. Jednak wojsko stale zajmowało budynki szkolne, w związku z tym albo nauka była zawieszona, albo w bardzo okrojonym wymiarze odbywała się w różnych budynkach na terenie miasta. Władze niemieckie wydały zarządzenie, że dzieci które ukończyły 14 rok życia nie mogą uczęszczać do szkoły niezależnie od tego, w której klasie się znajdują. W ten sposób opuściło szkołę 28 uczniów. Z roku na rok zmniejsza się liczba dzieci uczęszczających do szkoły. W 1943 zapisano 400 uczniów, promowano tylko 265, w 1944 klasyfikowano 327, a promowano 260.

7 marca 1944 wydarzył się niezwykle wypadek. Na drodze z Krynicy do Nowego Sącza zginął w wypadku samochodowym niemiecki inspektor szkolny **Rudolf**, który wraz z 4 innymi osobami został pochowany na cmentarzu niemieckim w Dąbrówce.

W sierpniu 1944 r. powołano nauczycieli do kopania okopów. Nauki nie było. Wojsko niemieckie opuściło budynek szkolny 1 listopada 1944 r. Kierownik szkoły poczynił starania, aby naprawić szkody wyrządzone przez tyle lat wojennych. Niestety, nauka rozpoczęta 11 stycznia 1945 r., została szybko przerwana, gdyż 20 stycznia zajęły budynek wojska radzieckie.

IV. W Polsce Ludowej

W dniu 27 stycznia 1945 odbyła się narada kierowników szkół z prof. **Regułą**, który zaapelował o jak najszybsze otwarcie szkół. Nie było to takie łatwe, gdyż na użytek szkolny nadawały się tylko dwa budynki: szkoła im. Konarskiego i im. T. Kościuszki — po wstawieniu szyb. Naukę wznowiono 19 lutego w sześciu salach szkolnych. Uczyły się tu dwie szkoły kolejowe i Dąbrówka. Dnia 18 marca 1945 uczniowie tej szkoły brali udział w uroczystościach miejskich takich, jak: przeniesienie zwłok poległych żołnierzy przy wyzwaniu miasta oraz poświęceniu kamienia węgielnego pod pomnik A. Mickiewicza. 25 marca odbył się pogrzeb ofiar poległych Polaków w mieście i okolicy.

20 kwietnia tegoż roku odbyła się pierwsza konferencja dla nauczycieli powiatu. Przemawiali przedstawiciele władz oświatowych i politycznych. Mówili o rozwoju oświaty po wojnie.

Bardzo uroczyście obchodzi się święta 1 Maja i 3 Maja. Uczczono również podniesienie kapitulacji przez Niemców 8 maja.

Nastąpiła w szkole zmiana kierownictwa. Dotychczasowy kierownik L. Mikołajewski wyjechał do Poznania, kierownikiem został **Andrzej Jasiński**.

Kronika szkolna podaje, że kolejne inauguracje i zakończenia roku szkolnego

zawsze zaczynały się mszą św. aż do 1948 r. Potem następuje 2-letnia przerwa w kronice, a od 1951 r. nie ma już wzmianki o mszy św. i katechetach.

Od r. szk. 1945/46 działają w szkole następujące organizacje: Samorząd Szkolny, Harcerstwo, Polski Czerwony Krzyż, uruchomiono teatrzyk szkolny, chór oraz rozpoczęto zbiórkę książek do biblioteki szkolnej. Komitet Rodzicielski działający przy tutejszej szkole zorganizował akcję dożywiania dzieci. Zajął się też remontem szkoły, który bezinteresownie wykonali rodzice. Jest też wzmianka, że uczniowie klas VII oddali sztandar uczniom kl. VI. Nic nie wiadomo, kiedy go ufundowano i co się z nim potem stało, gdyż obecny sztandar ufundowano w roku 1985.

W związku z opóźnieniami w wykształceniu młodzieży, przy tutejszej szkole zorganizowano tzw. „Ciąg skrócony”, w którym dzieci przerośnięte kończyły w ciągu roku dwie klasy. Szkoła liczyła 11 oddziałów, w których uczyło się 367 dzieci. Z języków obcych uczono języka francuskiego (sic!). Lecz niedługo, gdyż potem wprowadzono język rosyjski.

Kierownik szkoły został mianowany podinspektorem szkolnym, a nowym kierownikiem został **Stanisław Danielski**. Jednak niedługo jest na tym stanowisku, wkrótce zastępuje go **Stanisław Drugalski**, który odchodzi ze szkoły we wrześniu 1951 r. a kierownikiem zostaje **Elżbieta Górkowa**. Kronika podaje, jakie teraz odbywają się uroczystości szkolne. Obchodzi się rocznicę rewolucji październikowej, urodziny Stalina, powstanie PPR, powstanie Armii Radzieckiej, rocznicę śmierci K. Świerczewskiego, urodziny B. Bieruta, 1 Maja. 18 maja 1952 r. nauczyciele tutejszej szkoły przystąpili do „państwowego egzaminu ideologicznego”. Widzimy, jak zmienia się oblicze szkoły i nabiera politycznego charakteru. W r. szk. 1952/53 do szkoły uczęszcza 374 dzieci, którzy uczą się w 9 oddziałach przez 9 nauczycieli.

1 września 1954 r. kierownikiem szkoły został **Michał Rogowski**. Zapisanych jest 395 uczniów w 11 oddziałach, którzy uczą się w 6 salach. Wydział Oświaty przeprowadził kapitalny remont szkoły. Jednak nie polepszyło to warunków lokalowych szkoły. Zaplanowano rozbudowę szkoły już na czerwiec 1958 r., lecz z powodów finansowych przesunięto ją o rok. Były trzy koncepcje jej realizacji. Pierwsza przewidywała dobudowanie nowych sal do starego budynku albo w stronę boiska, albo w stronę ogrodu. Inna przewidywała postawienie osobnego budynku. Zwyciężyła ta ostatnia, lecz nowe skrzydło zostało połączone obszernymi korytarzami na parterze i piętrze. W nowym budynku było 12 izb lekcyjnych, sala gimnastyczna, gabinet fizyko-chemiczny, pracownia robót ręcznych, biblioteka, świetlica i kuchnia z zapleczem. Dnia 8 stycznia 1962 r. odbyła się uroczystość oddania nowego skrzydła szkolnego młodzieży i nauczycielom. Ta nowa część została zarejestrowana na liście Szkół Tysiąclecia Państwa Polskiego jako szkoła nr 327. We wrześniu 1963

odchodzi kierownik M. Rogowski, pełni jego obowiązki **Tadeusz Tellek** do 1 grudnia, po czym kierownikiem zostaje **Ryszard Bodziony**. Wiele miejsca w kronice jest poświęcone Komitetowi Rodzicielskiemu, który aktywnie działał w tych latach organizując wiele uroczystości, wycieczek, fundując nagrody i stypendia dla uczniów.



Nowe skrzydło szkoły

Od 1 września 1967 kierownikiem tej szkoły został mgr **Jerzy Brzeziński**, a zastępcą **Irena Habela**; pełni tę funkcję do sierpnia 1990 r. Najważniejszą sprawą na najbliższe lata była budowa boisk szkolnych oraz przeprowadzenie koniecznych remontów. Rozburzono oficynę, w której mieściło się mieszkanie woźnego szkolnego, wymieniono piec c.o., oraz okna. Wymieniono również dach w starym skrzydle w 1970 r.

Nauczyciele przeżywają reformę oświaty, gdyż wprowadzono *Kartę praw i obowiązków nauczyciela* od 1 maja 1972 r. Ustala ona 26 godz. jako pensum nauczycielskie. Wprowadza tytuł dyrektora dla kierującego szkołą.

Prężnie działa drużyna ZHP przy szkole, która uporządkowała piwnice w starej części budynku organizując tzw. harcówkę z kominkiem.

Rok szkolny 1972/73 przynosi następną reformę oświaty za rządów ministra **J. Kuberskiego**. W związku z tym w szkole wprowadza się wiele zmian dydaktyczno-wychowawczych. W każdy wtorek odbywają się apele, na których przeprowadza się pogadanki o treści patriotycznej. Jest wiele zajęć pozalekcyjnych. Działa koło krajoz-

nawczo–turystyczne, koło modelarskie, chór szkolny. Szkoła jest traktowana jako filia Młodzieżowego Domu Kultury. Wyłoniła się potrzeba napisania hymnu szkolnego. Do słów napisanych przez nauczycielkę **E. Szklarczyk** muzykę opracował **A. Paszyński**. Słowa hymnu nawiązują przede wszystkim do postaci patrona szkoły. A oto słowa hymnu (w jego obecnej postaci):

*Te nasze i myśli, i serca, i czyny,
Na zawsze my Tobie nasz kraju rodzinny,
Tę naszą i młodość, i zapał, i słowa,
Niesiemy dla Ciebie Ojczyzno kochana.
Dla Ciebie z nas każdy nad książką się trzudzi,
by wiedzę osiągnąć, wyrosnąć na ludzi
szlachetnych i mądrych, by dobrą opinię
swej szkoły rozszerzyć w sądeckiej krainie.
Za wzorem Kościuszki — naszego patrona,
co był bohaterem tak wielkim, wspomniałym.
Pragniemy w swym życiu trudności pokonać,
Ofiarnie pracować dla pokoleń chwały.*

W roku szkolnym 1973/74 do tej szkoły została przeniesiona Szkoła Podstawowa dla Pracujących oraz Podstawowe Studium Zawodowe. Dyrektorem tej szkoły był **Kazimierz Fyda**.

Zwolniło się również mieszkanie służbowe, które zajmował emerytowany kierownik szkoły M. Rogowski. W tych pomieszczeniach znalazło miejsce przedszkole. W lipcu przed świętem „Odrodzenia” została przyłączona do miasta wieś Dąbrówka Polska, która stała się dzielnicą miasta. W czasie wakacji przebywały tu dzieci z kopalni, dzięki temu co rok odnawiano pomieszczenia szkolne.

W następnym roku Wydział Oświaty w Nowym Sączu ogłosił konkurs na monografię dzielnicy lub miejscowości. Szkoła przystąpiła do konkursu i tak powstała monografia dzielnicy Dąbrówka opracowana przez Irenę Habelę — wicedyrektora, mgra Jerzego Brzezińskiego — dyrektora przy współpracy z organizacją ZHP. Znajduje się ona w archiwum szkolnym w maszynopisie. Monografia ta zajęła I miejsce.

Przeprowadzono remont podłogi w sali gimnastycznej, który zakończył się w lutym 1975 r.

Założono na parterze wydzielając część holu Izbę Pamięci Narodowej, którą uroczystie otwarto w dniu 8 maja 1975 r. W czerwcu przeprowadzona została reforma administracyjna i tak powstało woj. nowosądeckie. Stworzyły się nowe warunki dla oświaty. W Nowym Sączu ma swoją siedzibę Kuratorium Oświaty i Wychowania, a kuratorem został mgr **Pasznicki**.

Nowy rok szkolny wyróżnił się nawiązaniem współpracy ze statkiem *M/S Nowy Sącz* tutejszych dzieci. Odyła się wspaniała wycieczka do Gdyni i zwiedzanie statku, jak również rewizyta „wilków morskich” w szkole w dniu 6 grudnia 1975 r.

W roku szkolnym 1975/76 dyrekcja szkoły nawiązała współpracę z Uniwersytetem Jagiellońskim, którego przedstawiciel dr **Stanisław Palka** zorganizował klasy eksperymentalne pod hasłem „*Praca badawcza uczniów w procesie kształcenia*”. Pod koniec listopada badano wyniki nauczania i rezultaty okazały się rewelacyjne — wg słów autora kroniki.

Zgodnie z kierunkami reformy oświaty szkoła miała być przemianowana na 10-latkę. Doposażono klasy pierwsze, aby w pełni realizowały nowy program. W dniu 12 czerwca 1979 r. odbyło się w szkole miejskie zakończenie roku szkolnego, na które przybyli przedstawiciele władz partyjnych, jak i oświatowych. Wręczono wiele nagród dyrekcji i nauczycielom.

Kolejne lata obfitują w doposażenie szkoły w sprzęt, pomoce dydaktyczne i audiowizualne. Niestety, kolejne kradzieże z włamaniem powodują poważny ubytek tego sprzętu.

Najważniejszym wydarzeniem lat osiemdziesiątych było ufundowanie sztandaru szkole z wizerunkiem patrona T. Kościuszki, a po drugiej stronie orła białego. Odyła się wspaniała akademicka przygotowana przez nauczycieli tutejszej szkoły,



Sztandar z wizerunkiem patrona

a scenariusz widowiska napisała pani **Józefów** ze szkoły gastronomicznej.

W każdym roku szkolnym odbywały się tu postawione na wysokim poziomie artystycznym akademie, uroczystości szkolne. Drugą domeną szkoły były zawody sportowe, których inicjatorem od lat był **Tadeusz Dobek**, nauczyciel wychowania fizycznego. Powstało też kółko taneczne *Mambow* 1989 r., które roztańczyło uczniów szkoły i przysporzyło sławy, gdyż zdobył pierwsze miejsce na miejskim przeglądzie zespołów artystycznych. Władze oświatowe w budynku szkoły umieściły w 1983 Zasadniczą Szkołę Zawodową nr 6 pod jedną dyrekcją mgr Jerzego Brzezińskiego.

V. Czasy Rzeczypospolitej Polskiej

Rok 1990 przyniósł zmiany na stanowiskach dyrektorskich szkoły. Odszedł na emeryturę po 23 latach dyrektorowania mgr Jerzy Brzeziński. Drogą konkursu wyłoniono nowego dyrektora mgra **Andrzeja Balasa** i wicedyrektora mgr **Halinę Filipek**. W tym też roku powróciła nauka religii do szkół i pojawili się tak duchowni, jak i świeccy katecheci. Z okazji 72. rocznicy odzyskania niepodległości odbyła się msza św. w murach szkolnych, poświęcono tzw. nowe skrzydło szkoły i sztandar szkoły, na którym dohaftowano orłowi koronę. Było to ogromne przeżycie tak dla uczniów, nauczycieli, jak również mieszkańców okolicznych dzielnic. W części artystycznej wystąpiła młodzież szkolna oraz aktorzy z teatru „STU” z Krakowa. Uroczystość ta została utrwalona nie tylko w kronice, ale również w piśmie samorządu szkolnego pt. *Echo Dziewiątki*, które ukazuje się do dziś. Podobnie uroczystości obchodzono święto Konstytucji 3 Maja.

Nowa dyrekcja szkoły przystąpiła z energią do remontów. Ubikacje i łazienki wyłożono kafelkami, przebudowano kaflową kuchnię doprowadzając gaz i kuchenne urządzenia gazowe. Na dolnym holu dobudowano pomieszczenia dla księgowej i kierownika gospodarczego oraz pani pedagog. Założono nowe ogrodzenie od frontu szkoły, wymieniono wszystkie drzwi wejściowe, pomalowano część sal lekcyjnych.

Zmieniały się przepisy prawne dotyczące oświaty i szkoła się musiała do nich dostosować. Wprowadzono nową sześciostopniową skalę ocen z nowymi stopniami: celującym i miernym, opracowano ważne dokumenty regulujące pracę w szkole: statut szkoły, regulamin rady pedagogicznej, rady rodziców i samorządu uczniowskiego oparte na nowej ustawie o systemie oświaty.

Jak zawsze w tej szkole czynno ważne rocznice. Do nich należało 700-lecie naszego królewskiego miasta. Odbyło się wiele konkursów tematycznych z tej okazji. Uczniowie nie tylko podziwiali swe strony ojczyste, ale też wyjeżdżali na różne wycieczki, m.in. nad Morze Bałtyckie, w Góry Świętokrzyskie, do Warszawy, na Słowację, a nawet do Paryża. W czasie wakacji dyrektor A. Balas zorganizował w szko-

le półkolonię z językiem angielskim, nauczany przez studentów z Anglii.

Dalsze plany i zamierzenia przerywa nagła i tragiczna śmierć dyrektora Andrzeja Balasa, który umiera w budynku szkoły 31 grudnia 1993 r. Było to wstrząsające przeżycie tak dla nauczycieli, jak i uczniów, którzy z wielką powagą i smutkiem odprowadzili swego dyrektora na miejsce wiecznego spoczynku.

Ogłoszono konkurs na stanowisko dyrektora szkoły, który wygrała mgr **Zofia Basiaga**. Wicedyrektorem została mgr **Julita Szofer-Florek**. Od tego też momentu rozdzielono dyrekcję szkół, dyrektorem Zasadniczej Szkoły Zawodowej nr 6 mianowano mgr **A. Dzikowską**. W niedługim czasie (2.04.1996 r.) opuszcza budynek ZSZ nr 6 po 13 latach wspólnego przebywania w murach tej szkoły.

Życie szkoły potoczyło się swoim trybem. W marcu 1994 r. rozpoczęły się uroczystości i imprezy związane z 200-leciem Insurekcji Kościuszkowskiej. Uwieńczeniem obchodów rocznicowych było odsłonięcie popiersia patrona szkoły odlanego z brązu.

Wysiłkiem wielu nauczycieli tej szkoły rozwija się talenty artystyczne drzemiące w uczniach. Owocem tych wysiłków było zajęcie pierwszego miejsca w I Wiośnie Artystycznej zorganizowanej przez Związek Sądeczan pod patronatem ówczesnego prezydenta miasta **Jerzego Gwiżdża**. Laureaci w nagrodę wyjechali na Słowację.

Powoli staje się tradycją tej szkoły coroczny Festyn Szkolny organizowany w czerwcu. Jest on świętem młodości i pokazem wszystkich dokonań artystycznych uczniów i nauczycieli. Rodzice mają okazję podziwiać swoje dzieci w maratonie artystycznym i sportowym. Odbywają się też różnorodne kiermasze spożywcze, odzieży, książek i podręczników oraz loteria fantowa. Wielu sponsorów szczerze obdarowuje szkołę w środki, aby uczniowie mogli dostać cenne nagrody. A oto jak ocenił tę imprezę starszy wizytator **Witold Kozłowski** na łamach *Dziennika Polskiego*: *„To wspaniała inicjatywa. Jestem pod wrażeniem ogromnego zaangażowania dyrekcji i nauczycieli z tej szkoły. Szybko staje się ona jedną z nielicznych w mieście placówek środowiskowych”*.

Tak leciwa szkoła wymaga ciągłych remontów. Przeciekający dach wymieniono na nowy, ale tylko w połowie z braku dalszych środków. Udrożniono kanalizację, pomalowano wszystkie sale lekcyjne i korytarze. Nie zapomniano o postępie. Wprowadzono komputerowe zarządzanie szkołą realizując umowę zawartą z firmą Vulcan z Wrocławia. Zainteresowania sportowe uczniowie mają możliwość rozwijać na zajęciach karate prowadzonych przez lekarza **T. Zajęca** oraz w Uczniowskim Klubie Sportowym „Rekord” w sekcjach: lekkoatletyka, gry zespołowe, kajakarstwo górskie.

Specyfiką tej szkoły są dwie klasy dla dzieci Romów z pobliskiego osiedla cy-

gańskiego. Aby zaprezentować uzdolnienia artystyczne tych dzieci dwukrotnie już zorganizowano spotkania uczniów podobnych klas z województwa nowosądeckiego. Młodzi Romowie mogli śpiewać i tańczyć swe piękne tańce cygańskie, na wystawie pokazali swoje prace plastyczne, rywalizowali w różnorodnych konkurencjach sportowych. Festiwal ten spotkał się z dużym zainteresowaniem ze strony władz, gdyż oglądali go przedstawiciele Ministerstwa Edukacji Narodowej, Kurator nowosądecki **Jerzy Nalepka**, prezydenci miasta **Andrzej Czerwiński** i **Leszek Zegzda**, wizytatorzy, władze Stowarzyszenia Romów w Polsce, duszpasterze, rodzice i inni znakomici goście. Sprzyja on integracji tej mniejszości narodowej ze społeczeństwem polskim.

W roku jubileuszowym szkoła przeżywała wszechstronną wizytację. Oceniona została bardzo wysoko, tak ze strony Kuratorium, jaki i władz samorządowych, gdyż od 1 stycznia 1996 r. organem prowadzącym szkół miejskich została gmina Nowy Sącz. 90-lecie szkoły uczczono w pięknej inscenizacji, która w sposób artystyczny odtwarza jej historię. Osiągnięcia artystyczne i sportowe doceniły władze miasta przyznając szkole specjalizację w dziedzinie sportu i teatru. Jest to olbrzymia szansa dla uczniów szkoły, którzy w sposób zaplanowany mogą rozwijać swe zdolności i rozślawiać imię szkoły, jak również tak kształtować swój charakter, aby być zawsze człowiekiem otwartym na sztukę, uprawiającym zdrowy styl życia.

W roku szkolnym 1996/97 naukę rozpoczęło 704 uczniów w 29 oddziałach, którym wiedzę będzie przekazywało 53 nauczycieli. W administracji i obsłudze pracuje 12 osób.

W ciągu 90 lat w murach tej szkoły uczyły się tysiące dzieci. Na koniec chcemy przypomnieć dwóch nieżyjących już absolwentów „dziewiątki”. Pierwszy z nich to generał **Józef Giza**, który w 1887 r. urodził się w Dąbrówce Polskiej i uczył się w szkole powszechnej w Dąbrówce. Drugim to **Piotr Krzykański**, poeta ludowy, który urodził się 1899 r. w Dąbrówce i tu też chodził do szkoły. Swoje wiersze i gawędy ofiarował swej pierwszej szkole, których rękopisy i maszynopisy znajdują się w bibliotece szkolnej.

90 lat to dużo. Jak w okrucieństwie zwierciadła odbiły się w dziejach tej szkoły wszystkie zawirowania historii naszego kraju z tego okresu. Poznajemy nie tylko losy jednostkowej szkoły, ale też i oświaty, i Polski.



ŚCIBOR ZE ŚCIBORZYC (OK. 1347 — 1414)

„Losy człowieka nie mogą stanowić odrębnego tematu, bez powiązania z losami kraju i społeczeństwa w którym żyje”.

Janina Bieniarzówna

Był czas, że imię jego odcisnęło się pożarami i grabieżą w ziemi sądeckiej.

Ścibor ze Ściborzyc pochodził z Kujaw, spod Inowrocławia, ze wsi Ściborze. Miał lat piętnaście, kiedy z dwoma braćmi **Piotrem** i **Mościcem** przybył do Budy na dwór **Ludwika Węgierskiego** i zaciągnął się w jego służbę, szukając w niej — jako dość niezamożny szlachcic — chleba i kariery. Zwykła to była rzecz w owych czasach u obu narodów, iż szlachta traktowała rycerskie usługi jako rzemiosło, a królowie nie tylko z tych usług korzystali, ale i dobrze za nie wynagradzali.

Ubodzy Ściborzyce urządzili się jakoś na Węgrzech, ale karierę zawrotną zrobił dopiero sam Ścibor — już przy boku króla **Zygmunta Luksemburczyka**. Robił karierę, bo wykonywał w imieniu króla „czarną robotę”.

Zygmunt Luksemburczyk był synem **Karola IV Luksemburczyka** — króla Czech i cesarza niemieckiego. Matką jego była czwarta żona Karola IV — księżniczka pomorska **Elżbieta**, wnuczka **Kazimierza Wielkiego**.

Po śmierci króla Ludwika I Wielkiego — u nas Węgierskim zwanego — władzę na Węgrzech przejęła w roku 1382 jego żona **Elżbieta Bośniaczka**. Za życia męża usuwana w cień tym mocniej uchwyciła władzę, ale niestety rządzić nie umiała. Węgrzy powołali na tron jej starszą córkę **Marię** (młodsza **Jadwiga** to późniejsza królowa Polski). Maria, kiedy miała lat dwa przyrzeczona została za żonę ośmioletniemu

wówczas Zygmuntovi Luksemburczycowi. Po tron węgierski sięgnęli neapolitańscy Andegawenowie. Zygmunt Luksemburczyk chcąc wejść w prawa męża węgierskiej królowej Marii zebrał z pomocą swych braci wojska najemne, sprzymierzył się z Wenecją przeciw Andegawenom i ruszył na Budę, gdzie przebywał już z wojskiem **Karol Mały Andegawen**. Tenże zająwszy stolicę Węgier zdetronizował obydwie królowe. Wierni im ich doradcy **Gara** i **Forgacz** podstępem zamordowali Karola Małego. W takich warunkach, gdy naród węgierski bronił się przed obcym na tronie, a tron ten przechodził z rąk do rąk, przeciwnicy królowej — a była to można rodzina **Horwat-hów** — napadli zbrojnie na orszak uchodzących do Bośni królowych Elżbiety i Marii, uwożąc obydwie, a ich zaufanych mordując.

W tym pojmaniu królowych brał udział **Sulisław Rożen** h. Gryf z Gródka, dzisiaj „nad Dunajcem” zwanego. Czas nie mały spędził na Węgrzech jako dworzani **Elżbiety Łokietkówny**. Uznając rzemiosło wojenne za swoje, swobodnie go uprawiał przyjmując służbę u możnych. Królowe węgierskie uchodząc ze swego królestwa uwożyły z sobą insygnia królewskie węgierskie, także i polskie znajdujące się od czasu koronowania nimi Ludwika na króla Polski w skarbcu w Budzie. Odjęte im regalia powróciły do tego skarbcza. Od tego czasu korona św. Stefana ma uszkodzony wieńczący ją krzyż. Sulisław Rożen za uratowanie wówczas insygniów królewskich polskich w 1412 roku otrzymał od **Władysława Jagiełły** nadanie trzech wsi w ziemi sądeckiej i pozwolenie na powrót do Gródka.

Zygmunt Luksemburczyk szedł do Budy w takim tempie, aby nie zdążyć. Królową Elżbietę Bośniaczkę pozbawiono życia. Zdążył Zygmunt oswobodzić królową Marię i zmusić ją do małżeństwa. Takim systemem objął tron węgierski wbrew woli szlachty i panów węgierskich. Pod pozorem pomszczenia śmierci matki swej małżonki Marii zaprosił Zygmunt swych możnych przeciwników do Budy, po czym nakazał wszystkich wymordować. Wykonawcą tego straszliwego dzieła był najwierniejszy z jego popleczników — Ścibor ze Ściborzyc.

Bezlitośnie tępiąc swoją opozycję tak fizycznie, jak i materialnie, Zygmunt Luksemburczyk rozdawał ich skonfiskowane majątki swoim zaufanym. W nagrodę za bezwzględne spełnianie królewskich wyroków Ścibor ze Ściborzyc stał się wkrótce właścicielem całej doliny rzeki Wąg na Słowacji, i mimo że cudzoziemiec — jednym z najbogatszych magnatów na Węgrzech.

Zygmunt Luksemburczyk ściągając rycerzy z całej Europy zorganizował w roku 1396 wyprawę przeciw Turkom. Z wojskami sułtana **Bajazyta I** starły się jego wojska w bitwie pod Nikopolem na ziemi bułgarskiej. Wojska chrześcijańskie poniosły tutaj straszliwą klęskę. Z 60-tysięcznej armii rycerskiej zostało na polu walki 20 tysięcy, wielu potonęło w Dunaju, wielu wzięto w jasyr. Ocalał, chociaż ranny, zaufa-

ny króla węgierskiego Ścibor ze Ściborzyc. Razem ze swym protektorem uciekli statkiem Dunajem ku morzu, a stamtąd okrężną drogą przez Konstantynopol przedostali się do Dalmacji. Zygmunt Luksemburczyk zamiast za poniesioną klęskę szukać odwetu na Turkach zapragnął podporządkować sobie Bośnię i Dalmację, jako spuściznę po królowej matce — Elżbiecie Bośniaczce. Opierających się mu panów Bośni oraz Dalmacji zaprosił na zjazd, a skoro przybyli nakazał ich ściąć. Wykonawcą wyroku był Ścibor ze Ściborzyc. Tymi represjami podporządkował sobie Bośnię i Dalmację, a także przestraszoną jego bezwzględnością Serbię.

Niezadowoleni z postępów króla panowie węgierscy pod wodzą braci **Bebe-
ków** i arcybiskupa ostrzychomskiego stawili się na sejm do Budy w roku 1401. Wystąpili na nim przeciw Zygmunтови Luksemburczykowi zarzucając mu grabież dóbr poddanych, morderstwa, gwałty, hulaszczy tryb życia nie licujący z godnością monarchy. Ogołocony był też węgierski skarbiec, a królewskie dobra zastawione na poczet Zygmuntowych długów. Rezultatem tego wystąpienia było osadzenie przez magnatów węgierskich własnego króla w areszcie. W jego obronie stanęli najgorliwsi jego stronnicy: Ścibor ze Ściborzyc oraz **Mikołaj Gara** ze swoimi oddziałami zabi-
jaków. Pierwszy na południu Węgier, a drugi na ich północy i zachodzie, oczyścili kraj z wrogów swego króla, uwalniając Zygmunta Luksemburczyka z więzienia. Tenże opanował niekorzystną dla siebie sytuację i odzyskał tron Węgier.

Luksemburczyk odziedziczył po swoim bracie **Janie** ziemię nad Odrą — Nową Marchię. Postanowił niepotrzebne mu dziedzictwo i ziemie w nim z Polską sporne sprzedać, jako że ciągle potrzebował pieniędzy by umocnić się nimi na tronie. Wysłał w roku 1402 Ścibora ze Ściborzyc do Krakowa z propozycją zakupu przez Władysława Jagiełłę granicznej z Polską — Nowej Marchii. Król podjął pertraktacje — spisano odpowiedni traktat na kwotę 10 tysięcy grzywnien srebra. W tej umowie Ścibor zobowiązał się w imieniu Zygmunta Luksemburczyka przeprowadzić do końca sprzedaż Marchii. Poręczenie stanowić miały dobra, jakie Ścibor posiadał w Polsce (dość nikłe), także dobra jego braci i bratanków. Także czterej panowie polscy: wojewoda kaliski **Sędziwój z Szubina**, kasztelan poznański **Mościc ze Stęszewa**, jego brat **Hugon** oraz **Maciej z Łabiszyna** zobowiązali się wpłacić Jagielle 4 tysiące grzywnien, gdyby ta transakcja do skutku nie doszła.

Z Krakowa udał się Ścibor ze Ściborzyc do Malborka i... sprzedał Nową Marchię potajemnie Krzyżakom. Rzecz sporna ile Zygmunt Luksemburczyk otrzymał od nich za swe dziedzictwo, bo nie sposób było ocenić co było zapłatą a co „wziętkiem” za poparcie ich planów przeciw Polsce. Sam Ścibor podjął dla siebie też sumy od mistrza krzyżackiego. Krakowski epizod z umową miał uściplić czujność Jagiełły, co Ściborowi ułatwiałoby knowania z Krzyżakami. (Jagiełło nie wyciągnął konsekwencji

w stosunku do panów polskich za ich poręczenie sfingowanej przez Ścibora umowy).

Powróciwszy na Węgry z pieniędzmi Ścibor przekupiony został przez Luksemburczyka do walki przeciw jego przeciwnikom. Na czele tej opozycji stali: arcybiskup Ostrzychomia, **Tomasz** — biskup Egeru i bracia Bebekowie. W imieniu Luksemburczyka tak energicznie począł Ścibor niszczyć dobra arcybiskupskie, że aż w ich obronie interweniować musiał legat papieski. W jego dokumencie wymienieni są Ścibor oraz jego bracia Piotr i Mościc wśród szczególnych napastników. Po takiej pacyfikacji arcybiskup ostrzychomski zmuszony był się poddać, biskup Egeru uciekł zaś do Siedmiogrodu, a stamtąd do Polski. Tak to Ścibor ze Ściborzyc podierał w roku 1403 tron Zygmunta Luksemburczyka.

Tenże król węgierski wyprawił się w roku 1408 represyjnie przeciw Serbom i Bośniakom chcącym zrzucić jego zwierzchnictwo. Do spotkania doszło pod twierdzą Doboj, pod którą Bośniacy ponieśli klęskę. Luksemburczyk nakazał ściąć 200 najznakomitszych z nich a ciała wrzucić do rzeki Bosny. **Jan Długosz** zanotował: „*A tak kraj cały zmusił do hołdu i... posłuszeństwa*”.

Po zakończeniu tej represyjnej wyprawy ustanowił Zygmunt Luksemburczyk w grudniu roku 1409 „Order Smoka”, przyznawany swym najwierniejszym. Sentencją tego orderu było: „*O jak łagodny i miłosierny jest Bóg, a jak pobożny i sprawiedliwy posiadacz*”. Trzecim z kolei pośród 24 wyróżnionych tym orderem był Ścibor ze Ściborzyc — podówczas już wojewoda Siedmiogrodu. (Pierwszymi dwoma byli: teść i szwagier Luksemburczyka, ożenionego po raz drugi z córką hrabiego Cylei — Hermana).

W roku 1409 zawarty został przez Zygmunta Luksemburczyka sojusz z Krzyżakami, podpisany w Budziszynie. Za wystawienie 10 tysięcy kopii wojska, które miało być opłacone ze skarbca w Malborku, król Węgier miał otrzymać zawrotną sumę 300 tysięcy guldenów, jeżeli wraz z wojskiem uderzy równocześnie z Krzyżakami na Polskę. Luksemburczyk sygnował ten sojusz, mimo iż w roku 1397 zawarł przymierze z królem Polski mające trwać lat szesnaście.

Mające miejsce w 1409 roku utarczki bitewne pomiędzy wojskami polskimi a Krzyżakami przerwane zostały rozejmem do 24 czerwca 1410 roku. Król Węgier podjął się mediacji między walczącymi stronami. W tym celu zażądał od Jagielly „listu żelaznego” dla swobodnego przejazdu przez ziemie polskie do Krzyżaków. Nie pojechał do nich Luksemburczyk osobiście ale wysłał swych zauszników: Mikołaja Garę i Ścibora ze Ściborzyc. Temu „list żelazny” był nieodzowny, bo na pobłażanie w Polsce nie mógł liczyć po sprzedaniu Nowej Marchii Krzyżakom. Wysłannicy Zygmunta Luksemburczyka nie po to jednak jechali do Malborka by zabiegać o rozejm, lecz aby od Krzyżaków znów wydobyć dla swego króla nieco pieniędzy. Mogli je

uzyskać jedynie działając na szkodę Polski.

Nadszedł lipiec roku 1410. U Krzyżaków w Malborku znajdował się poseł króla węgierskiego Ścibor ze Ściborzyc wraz ze swym orszakiem. Na dzień przed rozpoczęciem bitwy grunwaldzkiej zdążył on wręczyć królowi Władysławowi Jagielle wypowiedzenie wojny ze strony Zygmunta Luksemburczyka — tak to węgierski król dotrzymał przymierza z Polską. Po tym akcie pędził Ścibor okrężnymi drogami przez Czechy do swego mocodawcy. Onże polecił mu wszcząć natychmiast wojnę na południowej granicy Polski, chcąc tym demonstracyjnym działaniem dotrzymać Krzyżakom budziszynskiego układu.

Zebrał Ścibór ze Ściborzyc 12 chorągwi zaciężnego wojska składającego się z Austriaków, Czechów i Morawian (Węgrzy odmówili udziału w tej wyprawie) i w październiku roku 1410 zdołał z nimi wkroczyć przez Sromowce w granice Polski. Nie napotkał tutaj oporu, choć pozostawione były na granicy oddziały wojsk polskich na czas rozprawy z Krzyżakami. Zwiedzione spokojem na granicy, beczynne wojsko rozeszło się przed czasem do domów.

Ścibor wtargnąwszy na ziemię sądecką zdołał ograbić i spustoszyć w niej szereg wsi oraz spalić nie posiadający umocnień obronnych Stary Sącz. Rok zwycięstwa pod Grunwaldem stał się dla tego miasta powodem utraty na czas długi znaczenia dla okolicy jako ośrodka miejskiego. Wojska Ściborowe spaliły przedmieście Nowego Sącza, a miasta samego nie zdobywszy wycofały się w stronę Muszyny i Bardiowa.

Zebrane naprędce chorągwie polskie dowodzone przez **Jana zw. Szczekocin** i **Spytka z Jarosławia** dopadły Ścibora pod Bardiowem. Rozbiły doszczętnie jego wojska odbierając im sławę wojenną oraz łupy. Czuyność na południowej granicy Polski została wzmożona, tym bardziej, że Ścibor począł gromadzić wojska koło Koszyc.

Po tej wyprawie Ścibor ze Ściborzyc — renegat i zdrajca własnej ojczyzny — przy wszystkich dotąd otrzymanych majątkach i zaszczytach mianowany został wojewodą preszburkim (Preschburg to niemiecka nazwa Bratysławy).

Do przebywającego w lutym roku 1412 w Nowym Sączu króla Władysława Jagiełły, który zjechał tutaj z księciem mazowieckim **Siemowitem** starszym i jego żoną **Aleksandrą**, z księciem litewskim **Zygmuntem Korybutowiczem**, księciem mazowieckim **Bolesławem**, księżną raciborską **Helena** oraz z orszakiem panów i rycerzy, przysłał Zygmunt Luksemburczyk posłów. Starali się oni załagodzić napięte między nimi stosunki w wyniku zdarzeń grunwaldzkich. Między tymi posłami był Ścibor ze Ściborzyc.

Rezultatem tych pertraktacji było spotkanie Jagiełły z Luksemburczykiem w Lubowli w marcu roku 1412. Wówczas to Zygmunt Luksemburczyk — cesarz niemiecki i król Węgier — zaciągnął u króla polskiego pożyczkę w wysokości 37 tysięcy kóp szerokich groszy praskich (w 1400 r. 1 grzywna srebra równa była 48 szerokim groszom praskim). Oddał za to w zastaw część Spisza: Lubowlę wraz z zamkiem i miastem, Podoliniec z zamkiem i jego włościami, miasta i wieś: Gniazda, Biała Spiska, Lubica, Wierzbów, Sobota Spiska, Poprad, Strażce, Włachy, Nowa Wieś Spiska, Ruskinowce, Wielka, Podegrodzie Spiskie i Twarożną. Władysław Jagiełło powrócił z Węgier po zawartej z Luksemburczykiem ugodzie do Krakowa w sierpniu roku 1412. Przywiózł ze sobą zwrócone mu ze skarbcza w Budzie insygnia koronacyjne polskich Piastów — królewską koronę, berło, jabłko i miecz. Dług Zygmuntowy nigdy nie został Polsce zwrócony. Natomiast spiskie ziemie zastawne oderwane zostały od Polski w roku 1769 z rozkazu **Marii Teresy** — cesarzowej Austrii.

Pod pozorem kordonu sanitarnego także wówczas zaanektowanych zostało 275 polskich wsi i 7 miast: Nowy Sącz, Stary Sącz, Piwniczna, Muszyna, Tylicz, Krościenko i Nowy Targ. Również zamki w: Nowym Sączu, Nawojowej i Czorsztynie oraz 6 ówczesnych starostw: sądeckie, barcickie, olszańskie, czorszyńskie, ostrowskie i nowotarskie.

Podpisaniem umowy w dniu 24 lipca 1770 r. w Mogilnie k. Nowego Sącza wprowadzone zostały przejścia graniczne do Polski: w Klikuszowej, Kaninie, Dąbrowej k. Nowego Sącza, Mogilnie i Boguszy.

Na tej ustanowionej przez Austrię granicy co 1 kilometr ustawiono słupy wyznaczające ją.

Po śmierci Ścibora ze Ściborzyc w roku 1414 dziedzicem jego ogromnego majątku został jego syn — także Ścibor. W listopadzie roku 1414 towarzyszył on królowi Węgier we własnym orszaku w 120 koni na zwołany do Konstancy sobór.

Zapewne Ścibor ze Ściborzyc nie tak pilnie wystługiwał by się Luksemburczykowi, gdyby przewidzieć mógł późniejsze losy swego rodu. Po śmierci Ścibora młodszego nakazał on przejąć jego dobra na rzecz węgierskiej korony, mimo że Ściborowi bracia Piotr i Mościc zgłosili swe prawa do spadku. Tych Luksemburczyk ogłosił zdrajcami i nakazał ściąć. Już w drugim pokoleniu Ścibora ze Ściborzyc skończyła się magnacka fortuna rodu jako, że: „na pstrym koniu łaska pańska jeździ”.

W pamięci ludu słowackiego Ścibor pozostawił złą sławę. Jeszcze w wieku XIX żył on tam w opowiadaniach i legendach jako nieludzki pan, który nakazał strącić w przepaść człowieka za to, że ten skaleczył jego ulubionego psa.

SAGA RODU WOJTYGÓW

Były ongiś takie rody, które pojedynczymi korzeniami, czy całym pnieniem wrastały w historię Nowego Sącza, pozostawiając po sobie nie tylko wspomnienia, ale także dzieła służące społeczeństwu po dzień dzisiejszy. I które przenoszą pamięć twórców w daleką przyszłość.

Ale te „przenosiny” nie dokonują się same. Ktoś musi się pochylić nad tematem, potrudzić, utrwalić i przenieść na „ekran” *Almanachu* na wieczną rzecz pamiętkę.



Józef Wojtyga

★

Do takich rodów należą **Wojtygowie**. Głową rodu był Józef, znany ongiś szeroko architekt — budowniczy i działacz społeczny.

Józef Wojtyga urodził się 15 marca 1881 r. w Krakowie. Syn głośnego w krakowskim świecie pedagoga, długoletniego dyrektora szkoły w Półwsiu Zwierzyńskim, **Jana Wojtygi** — nie poszedł w ślady ojca. Wybrał budownictwo, za wód, którego służebność społeczną widział w dookólnym świecie na co dzień. Z tym tylko, że Wojtydze marzyło się budownictwo według najnowszych wzorów zachodnioeuropejskich: połączenie funkcji społecznej obiektu z maksymalną do-

zą architektonicznego wdzięku i życiowej wygody.

W 1905 r. ukończył cieszącą się największą wówczas sławą Politechnikę we Lwowie, wynosząc dyplom z maksymalnie wysoką skalą ocen. Szukając szansy życiowej i ekspansji zawodowej — wybrał Nowy Sącz. Właśnie Nowy Sącz, który akurat w tym czasie, pod mądrymi rządami burmistrza, dra **Władysława Barbackiego**, zaczął być głośny jako „Miasto szans”.

W 1908 r. osiedlił się w Nowym Sączu, założył Biuro Architektoniczne, ożenił się i zostawiając domowy „majdan” na głowie żony — rzucił się w wir pracy, na wielokierunkowym torze: zawodowym i społecznym, a przede wszystkim niepodległościowym.

Grzebiąc w dokumentach dotyczących działań wolnościowych w Nowym Sączu przed I wojną światową — z nazwiskiem Józefa Wojtygi spotykam się raz po razie. Zawsze w czołówce sądeckich niepodległościowców, pełniącego wiele różnych i odpowiedzialnych funkcji.

Pierwsza wzmianka z 1909 r. wymienia Wojtygę jako jednego z głównych działaczy różnych zakamuflowanych lub jawnych związków koncentrujących się w Domu Robotniczym, noszącym nazwę „Wiedza”.

W 1911 r. na bazie konspiracyjnego Związku Walki Cywilnej (ZWC) powstał Związek Strzelecki, w ramach którego utworzona została X Drużyna Strzelecka. ZS miał charakter legalny, gdyż austriacki zaborca zezwolił na jego istnienie, planując wykorzystać młodzież strzelecką w spodziewanej wojnie z Rosją. W zarządzie ZS Wojtyga pełnił funkcję wiceprzewodniczącego.

Ze Strzelcem wiązały się duże koszty: jak zakup mundurów, sprzętu bojowego itp. Powołano więc do życia tzw. *Polski Skarb Wojskowy*. Głównym „Komisarzem Skarbowym” był Wojtyga, a jego zastępstwo pełniła czołowa skautka Sądeckizny — **Maria Wusatowska**.

Za zgromadzone przez Skarb Wojskowy pieniądze Wojtyga zakupywał sukno i zlecał krawcom szycie mundurów dla członków Strzelca, a gdy pieniędzy brakło — płacił z własnej kieszeni, względnie ręczył, że należne sumy zostaną pokryte w miarę narastających ze zbiorów kwot.

W jesieni 1912 r. powstał w Nowym Sączu, jedyny na ziemiach polskich Komitet Obywatelski, jednoczący luźne grupy i związki dla wspólnej pracy niepodległościowej. I znów widzimy Wojtygę w Zarządzie Komitetu, jako najbardziej operatywnego aktywistę.

W lipcu 1914 r. miał miejsce ogólnopolski kurs instruktorski Strzelca. Wojtyga, swój właśnie wykańczony dom przy ul. Matejki 17, oddał do dyspozycji kierownictwa kursu.

Gdy w pierwszych dniach sierpnia 1914 r. sprzed siedziby Związku Strzeleckiego przy ul. Tatrzańskiej odeszło do Krakowa, aby wejść w skład Legionów 200 ludzi (ze Strzelca, Sokoła i harcerstwa, pod wodzą **K. Pierackiego**) powstała grupa działaczy prolegionowych pod nazwą „Wojskowy Komisariat Legionów”, którego celem był dalszy werbunek ochotników do oddziałów legionowych. Na czele komisariatu stanął Wojtyga — działając z wyjątkową aktywnością i ofiarnością.

W sierpniu 1914 r. został mianowany Komisarzem i Komendantem Placu z ramienia Związku Strzeleckiego, a we wrześniu Powiatowym Komisarzem Wojskowym dla werbunku do Legionów Polskich.

Pracując na różnych obszarach, Wojtyga jako delegat Wojskowego Komisariatu pomagał także przy zorganizowaniu tzw. „Schroniska” dla legionistów, którzy przybywali do Nowego Sącza jako ranni, chorzy i rekonwalescenci lub „dekownicy”, orientując się, że walka przy boku armii austriackiej nic sprawie polskiej oprócz ofiar nie daje — szukali możliwości „wojowania” na tyłach.

Innym odcinkiem działalności Wojtygi była współpraca z gronem sądeckanek niosących pomoc legionistom leżącym w sądeckim szpitalu. Słowem nie było w owym czasie takiej dziedziny życia i takiego odcinka działania społecznego i niepodległościowego, w którym nie natknęlibyśmy się na nazwisko architekta i budowniczego — Józefa Wojtygi. Do połowy 1915 r. kiedy bowiem w 1915 r. werbunek do Legionów został zlikwidowany — Wojtygę skierowano do służby werbunkowej na terenie Królestwa Polskiego, gdzie pracował przez kilka miesięcy.

W 1916 r. wszedł w szeregi Legionów walcząc na różnych odcinkach frontu. W 1917 r. po boju pod Rarańczą został aresztowany przez Austriaków i osadzony w węgierskim obozie Sal Dobosz, a następnie wcielony do armii austriackiej i skierowany na front włoski. Zwolniony na skutek złego stanu zdrowia — wrócił w czerwcu 1918 r. do Nowego Sącza, podejmując pracę w umiłowanym zawodzie.

Ale sumując Wojtygowe boje o legionową, czyli wolną Polskę — stwierdzić trzeba, że jest to dorobek tak wielki, iż zahaczając o wszystkie wątki sądeckiej działalności niepodległościowej w latach 1909–1918 — obrazuje jej całość. Dostownie.

★

Przyszedł wrzesień 1939 r. Rodzina Wojtygów rozrosła się, a młode pokolenie Starego Legionisty, wychowane w arcy-polskim klimacie, nie chciało być gorsze od ojca. I tak zaczął się wolnościowego eposu Wojtygów akt drugi.

Pierwszy „wypowiedział” wojnę Hitlerowi świeżo upieczony mgr praw, związany z harcerstwem raczej luźno — **Lesław Wojtyga**. Podporucznik rezerwy 1. psp, zmobilizowany został 28 sierpnia 1939 r. i przydzielony do I baonu, na stanowisko dowódcy plutonu w kompanii kpt. **Winiarskiego** — zakończył pierwszy etap wojny w re-

jonie Dukli, skąd z resztką rozbitego plutonu, ukrywszy broń i mundury, wrócił do Nowego Sącza.

W mieście rządził komendant wojenny kpt. **Behrens**, na którego rozkaz wszyscy oficerowie polscy z miasta i powiatu stawili się któregoś październikowego dnia w budynku „Sokoła”. Tu Behrens dysponując dokładnymi danymi — podzielił zebranych na oficerów zawodowych i rezerwistów. Zawodowi zostali uznani za aresztowanych i przeznaczonych do obozu jenieckiego — rezerwiści mieli wrócić do pracy, na zajmowanych dotąd stanowiskach.

W pewnym momencie, gdy przyszła kolej na Wojtygę, Behrens kategorycznym tonem oświadczył:

„— *Pan jest prawnikiem, będzie pan pracował w sądzie.*”

Wojtygę zdenerwował ten władczy ton, a poza tym nie miał najmniejszej ochoty zatrudniać się w instytucji, gdzie sprawiedliwość odmierzana będzie hitlerowską miarką — odpalił więc również zdecydowanym głosem:

„— *Nie, panie komendancie, ja w sądzie pracować nie będę!*”

Behrens, zdumiony sprzeciwem, powtórzył swój rozkaz. Wojtyga znów odmówił. Wtedy Niemiec wrzasnął: „*Rechts*” i skierował Wojtygę do grupy przeznaczonych do obozu.

Budynek „Sokoła” był otoczony przez Wehrmacht, a na ulicy stały samochody, którymi aresztowani mieli odjechać do oflagu. Ale najstarszy rangą mjr **Wójcik** uprosił u Behrensa 2 godziny zwłoki, aby aresztowani mogli udać się do domów, zabrać rzeczy i pożegnać się z rodzinami. Za powrót major zaręczył oficerskim słowem honoru.

Istotnie wrócili wszyscy, z wyjątkiem por. **Romana Barbackiego**, który ukrył się, a wieczorem odszedł za granicę.

Wojtyga też został, ale dzięki dziwnemu kaprysowi Behrensa, który wsiadającego do samochodu Lesława ściągnął ze stopnia i powiedział:

„— *Pan nie pojedzie, proszę się zameldować jutro u mnie i u prokuratora.*”

Kilka dni później Behrens wyjechał z Nowego Sącza na stałe, z czego Wojtyga



Mgr Lesław Wojtyga



skorzystał; rzucił pracę w sądzie i zanurzył się bez reszty w powstających zajęciach konspiracyjnych. Często jednak powracał myślą do Behrensa, próbując zrozumieć czym się tamten kierował, decydując o takim, a nie innym losie Wojtygi. Nie sądzę przecież, żeby to było zbyt dziwne. Może Behrens, z cywila berliński adwokat, chciał w ten sposób ratować swego młodszego kolegę od obozowej nędzy? A może Wojtyga ujął Niemca odważną postawą i godnością? Lub widok młodego i przystojnego chłopaka przypominał Behrensowi syna i obudził w jego sercu odruch zgoła irracjonalny, a jakże po ludzku zwykły?

Ale do rzeczy. Pierwszym zadaniem jakie „podrzucił” Wojtygom wojenny los oraz przygraniczne położenie Sądeckizny była pomoc uchodźcom do armii polskiej na Zachodzie. Z inicjatywą wystąpił **Zygmunt Stobiecki**, który skaptował na przewodnika młodego wiciarza — ludowca **Jana Żółcińskiego** z Mostek koło Starego Sącza. Do współpracy przystąpili: **Zbigniew Ryś** z siostrą **Zofią**, **Tadeusz Sokołowski** z matką **Anną**, brat i siostra Stobieckiego oraz Lesław i Józef Wojtygowie.

Jeśli jednak o Wojtygów chodzi — udział w tej akcji brała cała rodzina. Tu przecież była baza etapowa, kwaterunkowa i „obsługowa” dla grupy uchodźców, których trzeba było nakarmić, często opruć, obłatać, wyposażyć w części garderoby, w żywność na drogę, a nawet, gdy kandydat na „marszałka” szedł w świat z pustą kieszenią — konieczne były bodaj drobne kwoty, które Wojtyga — senior dyskretnie „pożyczał”. Resztę kwatermistrzowskich usług pełniły Wojtygowa — mama z córkami **Ludmiłą**, **Marią** i **Zofią**. Bracia zaś zajęci byli samą techniką przerzutów: organizowaniem melin, kwater, punktów etapowych i tras na kierunku Nowy Sącz — Słowacja — Budapeszt oraz przepustek i zezwoleń koniecznych w kręgu granicy.

W grudniu na sądeckich melinach przerzutowych zjawiła się „gwiazda kurierskiego szlaku” — zakamuflowany agent wywiadu brytyjskiego w ramach SOE — **Krystyna Skarbak-Giżycka**. Będąc w Sączu zetknęła się ze Stobieckim i Wojtygą i zaproponowała im wspólną podróż do Budapesztu. Obydwaj chcieli. Tym bardziej, że Krystyna była kobietą wyjątkowej urody. Losujmy — zdecydowali: który wyciągnie krótszą zapałkę — ten rusza w drogę. „Wygrał” Zymek.

Po dziesięciu dniach wrócił, przywożąc sporo spostrzeżeń i jedno groźne ostrzeżenie: w lokalu PCK w Koszycach, w którym mieściła się baza etapowa dla uchodźców, dorwał się Zymek do książki ewidencyjnej, w której notowano personalia każdego uchodźcy. Obok danych osobistych istniała rubryka z tytułem: „Kto pomagał?”. W rubryce tej Zymek z przerażeniem zobaczył wielokrotny zapis: Stobiecki — Wojtyga.

Sprawę skomplikowała dodatkowo zdobyta pokątnie informacja, że jeden z pracowników koszyckiego PCK jest agentem Abwehry lub gestapo.

Zaraz po powrocie „Zymka” z Węgier Wojtyga dostał kontakty na czołowych działaczy krakowskiego podziemia z równoczesnym poleceniem podporządkowania pełnionych zadań kierownictwu Wydziału Przerzutów i Łączności przy Komendzie Okręgu ZWZ w Krakowie. W styczniu 1940 r. udał się na wskazane adresy do Krakowa i został skierowany do ówczesnego szefa sztabu Komendy Okręgu ZWZ, majora **Jana Cichockiego**, „Jaś”, „Kabat”, który wysłuchawszy relacji Wojtygi z dotychczasowej działalności przerzutowej jego grupy, mianował go szefem Działu Przerzutowego w Komendzie Okręgu. Od dnia 1 lutego 1940 r.

W Krakowie Wojtyga pracował, rozbudowując trasy przerzutu tylko trzy miesiące. W międzyczasie bowiem gestapo rozszyfrowało sądecki węzeł przerzutowy i przystąpiło do ataku na Stobieckich i Wojtygów.

Równocześnie wróg, szukając Lesława, sięgnął do jego rodziny mieszkającej w Krakowie, w związku z czym spalony Wojtyga, wyposażony w nowe dokumenty, wyjechał w czerwcu do Warszawy, aby znów zapaść się w konspiracyjną dżunglę.

Po ucieczce Lesława, cała wściekłość gestapo skupiła się na jego rodzinie. Na przełomie kwietnia i maja 1940 r., za nieuchwytnego Lesława aresztowano jego rodziców, brata **Józefa** oraz siostry Marię i Zofię. Śledztwo, przy akompaniamencie bicia, obelg i zniewag, trwało w stosunku do kobiet 7 dni. Mężczyźni, półżywi, wrócili po dwóch tygodniach. Ale ponieważ Lesław urosł w opinii gestapo do roli komendanta ruchu oporu na całą południową Polskę — dom Wojtygów otrzymał stałą nadzór w postaci zamieszkałego w sąsiedztwie konfidenta.

Wnet po wyjściu z więzienia Wojtyga — junior wyjechał z Nowego Sącza i zamieszkał u siostry, **Ludmiły Serafińskiej**, w Wiśniczu, gdzie również podjął razem z Serafińskimi pracę w tamtejszym podziemiu oraz służył pomocą więźniom osławionej kaźni wiśnickiej. Od czasu do czasu przyjeżdżał do rodzinnego domu. Ledwie się jednak pokazał — czuwający donosiciel zawiadamiał swoich mocodawców i tego samego wieczora zjawiało się gestapo.

W czerwcu 1941 r. znów przyjechał, aby przez chwilę nacieszyć się widokiem drogich twarzy i zabrać potrzebne mu przedmioty. Trafił na zły moment. Akurat dzień czy dwa temu aresztowany na ulicy Krakowskiej student z Warszawy, **Daniłowicz**, doprowadzony na posterunek Policji granatowej w Chełmcu, wyrwał ukrytą za paskiem spodni broń i zranił śmiertelnie komendanta posterunku **Jana Perlińskiego** oraz postrzelił gestapowca **Wiesnera** i posterunkowego **Stanaszka**

Rozwścieczony szef gestapo, **Hamann**, zastosował z miejsca odwet, aresztując kilkadziesiąt osób, przede wszystkim czołówkę sądeckiej inteligencji, ludzi odnotowanych wcześniej z racji aktywnej polskośći lub podejrzanych o udział w ruchu oporu. Wśród nich znaleźli się obydwa Wojtygowie: ojciec i syn.

Wprawdzie ani ojcu ani synowi niczego nie udowodniono, wystarczyło jednak, że jeden był ojcem, a drugi bratem „polische Bandit” — Lesława. Po śledztwie w Nowym Sączu część skazano na śmierć i rozstrzelano 21 sierpnia 1941 r. w Biegonicach, resztę wysłano do więzienia w Tarnowie z wyrokiem: Konzentrationslager Auschwitz.

Obydwaj Wojtygowie znaleźli się w tej drugiej grupie. Pobyt w Tarnowie przedłużył się ze względu na epidemię tyfusu. Transport do Oświęcimia odszedł dopiero w grudniu. Pojechał nim Wojtyga — junior. Na wieczny pobyt: świetnie się zapowiadający inżynier, wychowanek lwowskiej Politechniki — zginął w zbiorowej egzekucji na placu apelowym dnia 19 lipca 1943 r., odznaczony pośmiertnie Srebrnym Krzyżem Virtuti Militari.

Wojtygę — ojca, od wywózki i pewnej śmierci, uratowała ciężka choroba, a raczej ludzki gest więziennego felczera, Austriaka, który choremu wystawił zaświadczenie o absolutnej konieczności zwolnienia celem przeprowadzenia nieodzownej dla jego życia operacji.

Po zwolnieniu przeszedł Wojtyga dwie operacje, po których wrócił do względnego zdrowia. Ale oko gestapowskiego szpicla czuwało nadal. W maju 1943 r. aresztowano w sąsiednim domu rodzinę **Hüblów**. Tuż po aresztowaniu przyjechała w odwiedziny do swoich córka Hüblów pracująca w kieleckiem. Nie mogąc dostać się do zaplombowanego mieszkania, poprosiła Wojtygów o nocleg.

To wystarczyło aby Wojtygę po raz trzeci wtrącić do więzienia i poddać serii dokuczliwych przesłuchań. Wprawdzie po kilku tygodniach Wojtyga został zwolniony, ale suma udręki zrobiła swoje, doprowadzając do ciężkiej choroby serca.

★

Piękną i bogatą kartę w dziejach harcerstwa zapisała **Krystyna Wojtyżanka**. Rocznic 1913 — z harcerstwem związała się w 14 roku życia, wstępując dnia 1 IX 1927 r. w szereg I Żeńskiej Drużyny im. Królowej Jadwigi w Nowym Sączu.

Po zdobyciu odpowiednich stopni — mianowano ją w lutym 1930 r. zastępową w swojej drużynie, a z dniem 15 września 1931 r. została drużynową I Gromady Zuchowej. Tego samego roku odbyła kurs obrony przeciwgazowej, a rok później zdobyła stopień samarytanki.

Kolejny zapis w Księżce Służbowej informuje, że z dniem 1 września 1934 r. drużna Krystyna została powołana w skład Komendy Hufca na stanowisko referentki zuchów. W międzyczasie wszystkie wakacje spędzała z zuchami na obozach w charakterze komendantki oraz na kursach podnoszących jej harcerskie kwalifikacje i sprawności. Brała też udział w światowym zlocie skautów (Jamboree), który odbył się w lipcu 1933 r. w Budapeszcie — Gödöllő.

W 1932 r. ukończyła Seminarium Nauczycielskie w Nowym Sączu, zyskując zawód. Ale w owych czasach dyplom niewiele warty, skoro o pracę w szkolnictwie było niesłychanie trudno. Krystynie udało się „załapać” roczne zastępstwo w Radziszowie koło Myślenic, a od czerwca 1933 r. wróciła znów na ojcowski „garnuszek”. Ale nie marnowała czasu. Odziedziczoną po ojcu pasję działania wyładowywała w maksymalny sposób, organizując zastępy i drużyny harcerskie przy szkołach powiatu nowosądeckiego.

Nie tylko. W zapisach z tamtych lat spotykamy Krystynę na różnych polach działania. Najczęściej w Związku Strzeleckim oraz w WF i PW. Wszędzie w czołówce najbardziej aktywnych i ofiarnych. Świadczą o tym zresztą liczne podziękowania ze strony władz Związku Strzeleckiego oraz powiatowego i miejskiego Komitetu WF i PW.

Zasadniczą zmianę w życiu drużyny Krystyny przyniosło lato 1937 r., a raczej kolejna funkcja komendantki kolonii zuchów z Gdańska, w Słopicach koło Limanowej. Z zuchami przebywali w Słopicach Komendantka Chorągwi Gdańskiej hm. **Jan** **dwi** **ga** **Zawrocka** z mężem, także harcmistrzem.

Oni to właśnie zainteresowali się losem Krystyny i zaproponowali jej zatrudnienie w Gdańsku, na etacie nauczycielki w Strzelnie Morskim. Z dniem 1 września 1937 r. Był to jednak swoisty kamuflaż: Krystyna bowiem została z miejsca urlopowana i oddelegowana do pełnienia prac oświatowych w ramach Macierzy Szkolnej na terenie Gdańska. A także jako instruktorka w Chorągwi Gdańskiej ZHP oraz w Morskim Baonie i Morskim Obwodzie WF i PW.

Niewyżyte pasje Krystyny tu właśnie znalazły możliwość pełnej realizacji, powodując, że właśnie w Gdańsku zapisała Wojtyżanka najpiękniejsze karty swojego życia. Przy walnej pomocy serdecznych przyjaciół — państwa Zawrockich, którzy otoczyli Krystynę wszechstronną opieką, co w pierwszych miesiącach urzędowania się w obcym środowisku było bardzo istotne.

Gdańska działalność Krystyny przebiegała w bardzo trudnych warunkach. Był to przecież czas, kiedy wojna wisiała na włosku, a liczne na terenie „Wolnego Miasta” bojówki hitlerowskie i V Kolumna — zaczęły coraz wyraźniej ujawniać wrogię Polsce i Polakom oblicze. Dla działaczy typu Krystyny był to czas zwielokrotnionych zadań związanych z obroną polskości, a zarazem czas osobistego niebezpieczeństwa.

Krystyna wyszła z różnych osaczeń i trudności obronną ręką. Pomogło jej być może poznanie człowieka, który wkrótce miał zostać jej mężem. Ten rodzaj uczuć ma to do siebie, że zwielokrotnia siły fizyczne i psychiczne. Tym człowiekiem zaś był dr weterynarii **Franciszek Semsch**.

W grudniu 1938 r., po ślubie, który zresztą miał miejsce w Nowym Sączu, za-

mieszkał w Gnieźnie. I tu nastąpił pierwszy akt dramatu tej rodziny. We wrześniu 1939 r. pierwsza bomba zrzucona przez niemieckiego lotnika na Gniezno, trafiła w dom Semschów, niszcząc i paląc cały ich z trudem zorganizowany dobytek.

Dr Semsch w ramach ewakuacyjnych rozkazów udał się na wschód. W Kowlu 28 września, w przygodnym domu Krystyna urodziła synka Tadeusza. Kolejny etap wędrówki to Lwów i paromiesięczny pobyt u rodziny matki Krystyny.

Wiosną 1940 r. powrócili Semschowie do Nowego Sącza, skąd przenieśli się do Wolbromia, gdzie dr Semsch otrzymał pracę. W czwartym roku wojny znów zmienili adres, zamieszkując w Nowym Targu. Tu w listopadzie 1944 r. dr Semsch zmarł nagle na zawał. Krystyna z dwójką synów powróciła do rodzinnego miasta. Tym razem na zawsze.

Po paru latach pracy w sądeckim starostwie, a później w administracji aptek, po powtórnym wyjściu za mąż za dra **Edwarda Steina** — zmarła mając zaledwie 42 lata.

Jej pobyt nad morzem i zauroczenie jego pięknem, odbiły się w swoisty sposób na jej pierwotnym synu **Tadeuszu**, który, przy generalnej pomocy rodziny Wojtygów — ukończył Wyższą Szkołę Morską i pracuje w Polskich Liniach Oceanicznych jako kapitan Żeglug Wielkiej. Młodszy, wojenne dziecko, po wielu latach choroby i dwóch operacjach oczu, ukończył AGH i jako inżynier-geofizyk pracuje w Przedsiębiorstwie Badań Geograficznych w Poznaniu.

Jeszcze parę słów o losach mgra Lesława Wojtygi. Od gimnazjalno-akademicznych lat działał na kierunku radykalizującej lewicy — po wspomnianej ucieczce z Krakowa, pod trzecim z kolei nazwiskiem, wszedł w podziemny świat warszawskiej lewicy tkwiąc w niej do wyzwolenia.

Nie miał więc kompleksów, jakie przeżywała olbrzymia część zapatrzonego na Zachód społeczeństwa. Nie miał też trudności z wzięciem dziejowego „zakrętu” i wyładował gładko w politycznym porcie ludowej Ojczyzny, podejmując różne funkcje w aparacie partyjno-administracyjno-dyplomatycznym.

Między innymi dłuższy czas pracował w ambasadach polskich w Moskwie i Wiedniu. Na wszystkich stanowiskach i gdziekolwiek się znalazł — dbał przede wszystkim o zachowanie pełnej godności Polaka — Człowieka.

★

A ojciec?

Rozłożyliśmy go na obszarze zaboru i dwóch wojen, a to przecież nie wszystko. Wróćmy więc na moment do międzywojennego dwudziestolecia, w którym Wojtyga rósł w sławę i dorobek architektoniczno-budowlany, wpisując się w sądecką księgę architektury i budownictwa w maksymalnym wymiarze.

Zaczął od rozbudowy. Przy pracowni architektonicznej powstał Zakład Budowlany oraz zespół magazynowy z parkiem wyposażonym w najnowsze maszyny i urządzenia budowlane. Mocne zaplecze pozwoliło mu wykonywać roboty łatwiej i szybciej, co z kolei pomnażało renomę i dochody.

Pozostał jednak wciąż społecznikiem, dla którego głównym sensem bytu i działania było bogacenie miasta w nowe obiekty i troska o dobro już istniejących. Stąd ogromny wkład Wojtygi w wielokrotną renowację budynku „Sokoła”, w roboty przy wewnętrznej strukturze tzw. Kaplicy Szkolnej oraz przy zabytkowych kościołach — Fary i Jezuitów.

Sięgał także twórczą myślą w przeszłość i wyprowadzał z jej mroków kształty ważnych zdarzeń dziejowych.

Jednym z takich dzieł, osobiście zaprojektowanych i wykonanych przez Wojtygę, jest pięknie pomyślana i doskonale wkomponowana w tło Kwaterna Legionistów na cmentarzu miejskim w Nowym Sączu. Jest ona nie tylko wyrazem hołdu dla tych co polegli, ale także swoistą reminiscencją trudu włożonego przez Wojtygę w dzieło tworzenia Legionów i związanych z tą formacją przeżyć.

Kwaterę wybudował w 1927 r. W ciągu 12 lat dalszej pracy w architekturze i budownictwie stworzył dziesiątki obiektów, głównie z zakresu tzw. „komunalki”, odrywając się od czasu do czasu, aby na prośbę burmistrza dra Sichrawy pełnić funkcję architekta miejskiego.

O trudnych przeżyciach w latach II wojny światowej już była mowa. Ale jej kres był także początkiem końca samego Wojtygi. Nowy ustrój nie stworzył, jak wiadomo, warunków istnienia i działania prywatnej inicjatywie. Zasoby z lat międzywojennych „rozeszły się” po ludziach. Trzeba było szarpać się od nowa, a na walkę z „ludowymi wiatrakami” — Wojtyga już się nie zdobył.

Udręczony trudnościami jakie przyniosła władza ludowa, nękany chorobą serca — zmarł 12 lipca 1952 r. w Nowym Sączu.

Julian Klamerus

WIOSNA W MUSZYNIE

Ufoludki

*Kiedy Jurek wracał
na Słotwiny
Księżyc pulsował
zielonym światłem
„ufoludki to demony”
pomyślał
i spokojnie szedł
do wytwórców
kuli ziemskiej
z drucików*

Sanatorium

Gdzieś na końcu
albo na początku świata
miasteczko p.t. Muszyna
Kalendarz tu stanął na głowie
miała być wiosna
jest zima
Kawka wciąż w dziobie
nosi kawałek drewna
gniazdo buduje w dziurze
prosi o trochę chleba

oczekiwanie

W Miasteczku Muszynie
wartko Poprad płynie
ponad ruiny zamku Kasztelana
w którym Kochanowski
wino sączył z dzbana
wszyscy tu czekają
by goście zjechali
zapełnili sklepy
wszystko kupowali
A na razie spokój
Poprad płynie wartko
może się coś zmieni
od Wielkiego Czwartku?

Gdzieś w Muszynie

*Gdzieś w dużych miastach
Europy
siedzą ludzie w kawiarniach
i słuchają dżez
gdzieś w wielkich stolicach
stoją ludzie
na peronach metra
i słuchają blusa
gdzieś w Muszynie
słuchają ludzie
stukotu pociągu
i szumu Popradu*

Na moście w Muszynie

*Muszyna wieczorem
chłopy grają na gitarze
„idę, idę, idę, idę”
na Malniku
pali się malutka gwiazdka
w dole Muszyna
jak w piosence
„w górze tyle gwiazd
w dole tyle miast”*

Muszyna kościół 6³⁰

siostra ciągnie za sznur
nadaremno?
Tadziu Borzęcki
przyjdzie na pewno.
Słowa modlitwy, którą
słyszę z rana
„zawsze chcę mieszkać
w domu mego Pana”
ciepłą nadzieją
napęlniają duszę,
przecież w Muszynie
zmienić się Muszę
Matka Boska
skryła się za świętym Józefem
a napęlniła Kościół uśmiechem

modlitwa

Słońce zza grani Malnika
wychyla swoją twarz,
ledwie otwiera oczy
już mówię „Ojciec nasz”
Panie zesłałeś sny
wyłumacz mi ich sens?
więc pójde do kościoła
gorąco modlić się
bym nigdy nie zabłądził
i nie pomylił się

niedziela

*mgły idą na dół
będzie pogoda
zmieniła barwę
Popradu woda
Pomiędzy chałupy
wejdziem w drożynę
pójdziem wysoko
na Jaworzynę
Tam blisko nieba
pogadać z Bogiem
nam potrzeba*

dom

*Kawki piszą
po niebie pismem Braila
potem siadają
na antenach „Ursusa”
Artyście burzą dom,
lecą obrazy za ścianami
on nic nie przeczuwa,
bo jest w Sanatorium.
Nie dam nikomu zburzyć mego domu.
Zbuduję go na skale
nie porwą go fale
jego kością będzie Kościół
jego ciałem Pan*

Muszyna 5 rano

*Dolina pełna huku
Jadą pociągi
ponad Malnik
do Krynicy
Po południu będzie
pociąg aż
do Bukaresztu
snują się dymy
leniwie nad dachem
pachnie chlebem
w Muszynie*

Sen

*Wyrzałam na pole
łąka cała
w puszystym śniegu
Wyszłam z nim.
Fruwaliśmy nad łąką,
a spod śniegu
rozkwitały pękami
cudowne kwiaty.
Mama miała pretensję
o tego Cygana.
Mówiła „a może on
żonaty”*

Obecność

wszędzie obecny
jesteś Panie
w śpiewie pijaka
na przystanku
„Ej ziemio, ziemio
niebieska”
w twarzy dziewczyny
w autobusie
w uśmiechu dziecka
w postaci starej zakonnicy
mógłbym tak ciągnąć
to wylizanie
wszędzie obecny jesteś
Panie

Szczawnik

w zielonych sadach
rude krowy
a na przełęczy
stado łani.
Kopułki cerkwi
Iśnią srebrzyście
bliźniacze siostry
nieba bani.

ANDRZEJ JANAS

Ziemia limanowska to malowniczy region górski, jeden z najpiękniejszych zakątków naszego kraju. Ze szczytów gór i wzgórz otaczających Limanową widać panoramy okolicznych wsi. Na północnych stokach wzgórza Sałasz położona jest wieś Żmiąca, gdzie w 1870 roku urodził się artysta malarz i rzeźbiarz **Andrzej Janas**.

Był synem ubogiego chłopca Franciszka Janasa. Oprócz Andrzeja Janasowie mieli córkę Franciszkę i syna Józefa. Mieszkali w tzw. „górnjej” Żmiącej i dom ich zachował się do obecnej pory.

„Górna” część wsi była bardziej malownicza, za to mieszkańcy o wiele bardziej biedniejsi niż w „dolnej”.

Andrzej, jako chłopiec, ukończył tylko Szkołę Podstawową w Żmiącej, trwającą 4 lata. Był bardzo zdolny, jednak o nauce w szkole średniej nie mógł marzyć, bo to łączyło się z wyjazdem do miasta i przekraczało możliwości finansowe rodziców. Przez pewien czas pomagał w różnych pracach na plebanii w Ujanowicach, chcąc zarobić trochę pieniędzy na ubranie (wieś Żmiąca należała wówczas do rozległej parafii Ujanowice).

W Żmiącej i sąsiednich wsiach zasłynął jako rzeźbiarz — samouk. Wykonywał z drewna piękne kapliczki przydrożne, według własnego stylu. Skrzynka miała dach w formie trójkąta i zwężała się stopniowo ku dołowi. Przednią stronę kapliczki otaczała wokół wąska ramka, zawierająca wyrzeźbione ozdobniki (krzyż i gwiazda wpisane w koła). Do tak wykonanych kapliczek rzeźbił Janas również świątki, najczęściej Chrystusa Ukrzyżowanego. Kapliczki wraz ze świątkami wyglądały bardzo efektownie. Niektórzy gospodarze ze Żmiącej oraz sąsiedniej Jaworznej i Ujanowic prosili Janasa o wykonanie kapliczek. Zawieszali je na drzewach w pobliżu swoich domów, bądź osadzali na graniastych drewnianych słupach. Oprócz Chrystusa Ukrzy-

zowanego rzeźbił też inne świątki, zależnie od upodobania gospodarzy.

W Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie uznano, że jako rzeźbiarz samouk ma duży talent i został przyjęty na studia w roku akademickim 1900/1901 jako student nadzwyczajny. Z powodu braku matury nie przysługiwały mu żadne świadczenia na uczelni (stypendium, akademik).



Andrzej Janas — autoportret. Odbitka ze zdjęcia wykonanego przez Józefa Staniszewskiego

Przez dwa lata (1900–1902) uczył się rysunku i malarstwa pod kierunkiem prof. **Cynki**. Nauka rzeźby rozpoczęła się dopiero na trzecim roku studiów. Rzeźba była jego pasją, więc równocześnie rozpoczął praktykę w pracowni krakowskiego rzeźbiarza **Brzostowskiego**. Ze Żmiącej do Krakowa chodził pieszo, co świadczy, że brakowało mu pieniędzy na dojazdy. W Krakowie przez pewien czas był pomocnikiem w aptece, aby choć trochę zarobić.

Był wysokim, przystojnym brunetem i zawsze chodził w czarnym ubraniu. Z tego też powodu przyłgnęło do niego przezwisko „Czarny”. Ludzie w Żmiącej odnosili się do niego uprzejmie, bo czuli respekt z powodu czarnej brody i miejskiego ubrania. Mówił niewiele, ale jego

oczy tajemnicze i przenikliwe zauważały wszystko. We wsi zapraszano go na wesele, bo wnosił miły nastrój i bawił gości humorem, zapominając wtedy o swoich kłopotach finansowych.

O wykonanie kapliczki poprosili Janasa rodzice znanego pisarza **Władysława Dunarowskiego** z Jaworznej. Poszedł zobaczyć, gdzie będzie wisiała jego kapliczka i poznał wówczas młodszą siostrę matki Dunarowskiego, **Marię Rosiek**. Dziewczyna była bardzo ładna, ale podobnie jako on bez majątku, całe gospodarstwo odziedziczyła starsza siostra. Kiedy kapliczka była gotowa i zawieszono ją na gruszy koło domu, zauważono, że Matka Boska stojąca pod krzyżem Chrystusa ma twarz podobną jak Maryśka. Janas zakochał się w dziewczynie, ale nie mieli żadnych warunków do założenia rodziny. Pieniądzy za sprzedawane kapliczki i świątki nie starczało nawet na jego utrzymanie. Czasem daremnie obnosił je po wsiach, bo ludzie nie mieli pieniędzy. Szedł wtedy i głośno podśpiewywał „*Tyś mnie Boże stworzył, ja*

Ciebie wyrzeźbił, chętnie bym Cię sprzedał, ale nikt kupić nie chce”.

Władze austriackie nie dbały o rozwój przemysłu w Galicji i trudno było o pracę. Najgorzej powodziło się małorolnym chłopom, bo dochód z gospodarstwa nie starczał na utrzymanie rodziny. Zmuszeni byli wyjeżdżać w celach zarobkowych za granicę, głównie do USA. W latach 1901–1910 wyjechało tam 137 osób ze Żmiącej. Docierali do polskich skupisk, znajdując oparcie i opiekę. Przez cały okres swego pobytu utrzymywali żywy kontakt z rodzinami i sąsiadami w Żmiącej. Na wyjazd do USA zdecydował się również Andrzej Janas i po dwóch latach przerwał studia w Akademii Sztuk Pięknych w Krakowie.

W USA oczekiwał na Andrzeja brat Józef, który wcześniej wyjechał i usilnie namawiał go w listach do przyjazdu.

Maria Rosiek poszła tymczasem na służbę do księdza **Szafiarskiego** w Limanowej, który miał własny drewniany domek w pobliżu dworca kolejowego. W roku 1910 kilku mężczyzn ze Żmiącej zdecydowało się na powrót do Polski. Wraz z nimi postanowił wrócić do kraju Andrzej Janas, brat jego pozostał w USA. Wiózł ze sobą dużo materiału do malowania (farby, pędzle, płótno), natomiast o zarobionych pieniądzach nic nie wiadomo. Początkowo płynęli małym statkiem, z którego mieli przesiąść się na inny jadący do Polski. Janas siedział przy burcie głęboko zamyślony i nie zauważył nawet, że doływają do brzegu. Jeden z towarzyszących mu mężczyzn krzyknął bardzo głośno „wysiadamy” i wyrwał go z zamyślenia. Wstał gwałtownie i tracąc przy tym równowagę, wyleciał za burtę. Nikt go w porę nie wyratował i utonął. Wydobyte zwłoki Janasa pochował brat Józef w USA.

Wśród mieszkańców Żmiącej i Ujanowic do dzisiaj krążą wspomnienia o Andrzeju Janasie. Kapliczki jego coraz bardziej niszczały i groziła im całkowita zagłada. Przed II wojną światową zainteresowało się nimi Towarzystwo Ochrony Sztuki Ludowej w Warszawie i część z nich zakupiło od właścicieli. Nie wiadomo czy przetrwały zawieruchę wojenną. Zamiast nich umieszczono kopie, wykonane przez **Jana Chrobaka**. Spróchniała również kapliczka, wisząca na gruszy przy domu rodzinnym pisarza Dunarowskiego. Znajdujący się w niej krzyż z rzeźbą Chrystusa Ukrzyżowanego długo był jego własnością, a potem podarował go **Michałowi Rogalskiemu**, przyjacielowi z Jaworznej (mieszka w USA). Do tej pory zachowały się dwa duże drewniane krzyże, z rzeźbami Chrystusa Ukrzyżowanego, wykonane przez Andrzeja Janasa. Jeden z nich z 1901 roku, zwany „U Bożej Męki” stoi w „górnjej” Żmiącej na parc. nr 28 J. Urygi. Postać Chrystusa jest prawie naturalnej wielkości i mieści się w blaszanej ozdobnej ostłonie. Drugi krzyż znajduje się na plebani w Dobrej. Początkowo stał na cmentarzu w Ujanowicach, ale jego część wkopana w ziemię spróchniała i został powalony przez wicher. Przeniesiono go do kostnicy i tam leżał na podłodze, gdzie



Kapliczka w Żmiącej — dzieło Andrzeja Janasa (1901 r.)

groziła mu całkowita zagłada. Odnalazł go artysta malarz **Wincenty Gawron**, mieszkający w USA, w czasie pierwszej swojej wizyty w rodzinnej Limanowej, w 1967 roku. Z jego inicjatywy krzyż został przewieziony do Muzeum Parafialnego w Dobrej (wisi na ścianie w korytarzu). Wincenty Gawron zachwycał się kapliczkami Janasa i malował je. Polonia amerykańska wydała płytę „Papież z Polski” i szatę graficzną jej obwoluty wykonał Gawron. Na pierwszej stronie obok podobizny papieża wymalował kapliczkę Janasa z Chrystusem Ukrzyżowanym. W Żmiącej na parc. nr 26 S. Pajora stoi na słupie kapliczka Janasa, bogato zdobiona. Znajduje się w niej krzyż z rzeźbą Chrystusa Ukrzyżowanego oraz Matka Boska Bolesna i św. Jan Ewangelista. Ufundowana została na początku XX wieku przez rodzinę Janasów. Inna kapliczka z rzeźbą Chrystusa Frasobliwego, wykonaną przez Janasa wisi na drzewie w Żmiącej, w pobliżu wsi Kobyłczyzna. Pierwotna kapliczka uległa zniszczeniu, więc siostrzenica artysty **Małgorzata Rosiek** wyrzeźbiła nową kapliczkę i wstawiła do niej ocalałego świątka. Jego dziełem jest również kapliczka z rzeźbą Chrystusa Ukrzyżowanego, wisząca na drzewie w pobliżu domu rodzinnego. W Muzeum Ziemi Limanowskiej znajduje się niewielka jego rzeźba, przedstawiająca św. Stanisława.

W obecnym kościele w Żmiącej znajdują się trzy ołtarze wyrzeźbione w 1890 roku przez Andrzeja Janasa. W głównym ołtarzu umieszczona jest jego rzeźba Serca Pana Jezusa. Początkowo ołtarze i rzeźba znajdowały się w kaplicy zbudowanej w 1885 roku za staraniem **Piotra Bukowca**. Stała w miejscu obecnego kościoła i zachowana została jako kruchta.

Andrzej Janas miał również talent do malowania, jednak niewiele z tego pozostało. Obrazy jego pochodzą głównie z okresu studiów w Krakowie. Pisarz Władysław Dunarowski podaje, że wymalował udany portret cesarza Austrii Franciszka Józefa, za który otrzymał nagrodę. Jego dziełem jest postać Chrystusa Króla, wymalowana na suficie w kościele ujanowickim, otoczona elipsą. Są tam jeszcze różne motywy roślinne, ale nie wiadomo czy malował je również Janas. Malowidło to zostało odnowione podczas remontu kościoła w 1960 roku. Z obrazów olejnych znany jest tylko autoportret Andrzeja Janasa, obecnie własność Biblioteki Publicznej Miasta i Gminy w Limanowej. Ofiarował go Bibliotece w 1988 roku **Wincenty Gawron**, bratanek artysty malarza Gawrona. Otrzymał ten obraz od siostrzenicy Janasa, Małgorzaty Rosiek około 1960 roku i długo zdołał jego mieszkanie. Niedawno kupił Wincenty Gawron skrzynię malowaną przez Janasa.

Małgorzata Rosiek odziedziczyła talent do rzeźbienia i jej dziełem są liczne kapliczki przydrożne w Żmiącej, wiszące na drzewach, bądź osadzone na słupach. Konserwuje też krzyż „U Bożej Męki” i inne kapliczki swojego wuja. Od niej dowiedziałam się ciekawych wiadomości o jego życiu i twórczości artystycznej. Osobiście go

nie znała, ponieważ była małą dziewczynką jak utonął tragicznie. Wiadomości o nim przekazała jej matka Franciszka, siostra Janasa. Do niedawna Małgorzata Rosiek mieszkała w Żmiącej, w rodzinnym domu wuja. Obecnie przebywa u krewnych w Laszkowej.

Po odzyskaniu przez Polskę niepodległości nastąpiły lepsze czasy dla artystów, ale Janas już tego nie doczekał.

OPOWIEŚCI O DAWNEJ WSI LIMANOWSKIEJ

W dawnych czasach ludzie byli zdrowi, nie tacy chorowici jak dzisiaj.

Na śniadanie jedli ziemniaki z kwaśnym mlekiem i kaszę z cetru pomieszaną z mlekiem słodkim.

Na obiad też jedli ziemniaki z kwaśnym mlekiem. Nie było zwyczaju, aby omaścić. Stłukli ziemniaki i polali kwaśnym mlekiem. Kaszę gotowali na wodzie i polali słodkim mlekiem.

Na drugie śniadanie, jak ludzie robili w polu, dawali kawałek chleba i mleko.

Na wieczerzę jedli kaszę. Jak byli zarobnicy, jeszcze oprócz kaszy jedli ziemniaki. Żadnych zacierek ani ryżów nie było. Chleb ludzie bardzo rzadko jadali.

W post gotowali żury. Podczas wielkanocnego postu przez cztery dni w każdym tygodniu jedzono z mlekiem (w poniedziałek, wtorek, czwartek i niedzielę), a w środę, piątek, sobotę z żurem. A jakby krowa nadepta króla, to go oprawiano, schowano i jedzono w niedzielę.

Na żur dość grubawo umętko owsa, w dużym 4 do 6 — litrowym garnku sypano go do wody i zakiszano. Po czterech dniach scedzano, lano na wrzącą wodę i gotowano. Potem się wlewało do ziemniaków i jadło. To można było trochę okrasić olejem lnianym.

Olejarnię w Laskowej miał szlachcic. Tam się chodziło i olej lniany robiło przy pomocy dwóch wielkich stęp i prasy.

Najpierw nasienie lnu w piecu się suszyło na glinianych miskach. Wchodziło sześć litrów na makuch. Potem nogami się go tłukło w stępkach na mąkę, ją wybierało, siało przez sito, w osobnej stępie wrzącą wodą zalewano i na nowo tłukło, póki nie stała się sucha. Taką się wsypywało do kociołka, pod nim paliło i ją prażyło.

Prasą była kłoda. Na środku miała wyżłobione jakby okrągłe gniazdo (lisicę),

obite blachą. Od jednego dna w dół biegła rurka. Nią ściekał olej.

Na ostatku w kawałek wełnianego płótna końskim włosieniem się związywało zgnieciony len, wkładało się do gniazda, wstawiało klocek i biło kafarami. Z jednego makucha się wyciskało litr oleju. W końcu w gnieździe został suchy placek.

Dużo ludzi chodziło w kozuchach. Na święto mieli ufarbione na żółto, a białe na dni powszednie. W zimie i jak deszcz lał, na kozuchy wkładali ze zgrzebnego płótna górnice. One mniej więcej takie były jak płaszcz.

Gaci nie noszono w lecie. W zimie, jak był mróz, wdziewano dwoje portek. Dawno też nie było żadnych majtek. Kobieta na spodek miała spódnice.

Buty do kościoła były polskie karbowane, a tak to polskie cholewiace juchtowe.

Dawno ludzie nie prali tak jak dziś, bo nie było mydła. Zrobili ługu z popiołu, łachy w nim zanurzyli, poszli do stawka i prali kijankami. Nimi dwie dziewczki na przemian do taktu biły w ubranie. Prały tak nawet w zimie. Nie było wyjątku, w każdy tydzień. Na największym mrozie łachy marzły, a one musiały prać.

Ludzie, jak w niedzielę włożyli ubranie, to w nim chodzili cały tydzień. W przyszłą niedzielę dopiero się przewdziewali w czyste koszule i portki. Tak samo kobiety.

Wszystkie chałpy były dymne, bez piecków. W nich palono na nalepie. Nad nią wisiał kocioł. Do gotowania były spiżaki na trzech nogach. Garnki nad ogniem stawiano na dynarkach o trzech nogach.

Najlepiej się w takich chałpach (kuchnia) paliło, co z nich były drzwi do stajni. Po ich otwarciu robił się przeciąg i dym uciekał. Też on uchodził przez dziurę w powale (suficie).

W chałpach przed psotą (słotą) nie było cugu, choć otworzył do sieni. Przez to budowano wchód do stajni z kuchni.

Dym sięgał poniżej okien. Wtedy trzeba było siedzieć na ziemi albo progu, bo nie wytrzymał. Ilość dymu zależała od jakości palonego drzewa.

Mój ojciec w takiej chałpie przeżył osiemdziesiąt dwa lata. Dopiero ja przerobiłem ją wewnątrz, a w ostatku postawiłem nową. Stara przestała sto lat i się nie zepsuła. Jeszcze drzewo z niej poszło na stodołę. Dziś drzewo zakwaśnieje i grzyb się go chwyci.

Drzewo na opał dymem suszono na dwóch belkach (paleniach) w kuchni pod powałą sięgających od jednej ściany do drugiej. W bardzo dawnych czasach w kuchni trzymano bydło.

Domy budowano bezpośrednio na ziemi, bez użycia pił. Drzewo cięto siekierą. Węgły zakładano w zamek. U chałp nie było facjatów ale przepaśnice, pokryte słomą.

Wewnątrz dom był okopciały. Nikt go nie biał. Tylko siwą gliną oklepał od czasu do czasu, to było trochę biał. Podłogi nikt nie znał.

Za pańszczyzny pługi były drewniane — sochy, na dole trochę okute. Przy orce nimi ziemia nie odchodziła na bok jak dziś, ale się pchała.

Ludzie podsiekali trawę i koniczynę, a zboże gromadnie żęto sierpami. Nie znali pokładaczki (podorywki). Ściernię bydło zbito przez całą jesień. Nawet mój ojciec nie dał robić podorywki, bo gdzie byłoby bydło paść. Na taką ściernię nawieźli nawozu, przyorali, przekopali rzędy, sadzili ziemniaki i one znowu przygrzebali. To dawało strasznie dużo roboty. O przyorywaniu ziemniaków nie było mowy.

Pługi żelazne zaczęto używać od 1875 roku. Ja, jak miałem dziesięć lat, poganiałem ojcu, to już miał pług żelazny.

Brony składały się z pięciu drewnianych słupków, nabitych na dwóch sytkach. W nie (słupki) były wpuszczone bronniaki.

Całą zimę chłopci zboże młócili cepami. Zależnie od swojej zamożności. Jak był gospodarz biedny, to młócił w jednego, bogatszy w trójkę albo dwójkę, we dworze w trójkę na dwóch boiskach. Rano karbowy po dwie kopy snopków rzucił na trzech chłopów. Oni w każdy dzień musieli to wymłócić, wymłynkować i na spichlerz wynieść. Za to dostali dwie szóstki. Za nie kupił chleb półtorakilowy.

Przedtem wiali workami. Jeden zboże nabierał na szufelkę i ciskał, a drugi workiem plewy zdmuchiwał. Nie każdy potrafił to robić. Jak jeden umiał cisnąć tak, żeby zboże wysoko się nie rozleciało, a drugi zgrabnie workiem wywinąć, to nawet dość dobrze zdmuchnął.

Pierwszą siewkarnię w Starym Sączu zamontował Antoni Waligóra. Mój ojciec siewkarnię kupił w 1878 roku. Nią siewkę nawet chodził rznąc do dworu. Jeszcze ona jest u mnie do dziś dnia. Za dzień rznienia pan mu dawał pięć szóstek. Mnie, co nakładałem słomę do siewkarni, płacił dwie szóstki. Na obiad dał ugotowanego bobu. Czterech ludzi obracało siewkarnię. Ciężko nie mieli. Jakby się chciał przyżyć, to nawet dwóch uobracało.

W Limanowej jarmarki były co czternaście dni. Na nich ludzie na oko sprzedawali świnie i bydło, bo nie było wagi. To było źle, bo stwarzało wyzysk. Później na sprzedaż były płótna i szewcy zaczęli nosić buty.

Za pańszczyzny pieniądze nazywały się siajne. Za woły trzeba było ich dać trzydzieści pięć. Po rozbiorze Polski krowa kosztowała 120 reńskich. Dziś takiej nie kupi za trzy tysiące złotych.

Bywały topielce. Nawet jednego chłopca któryś utopił, jak się poszedł kąpać. Znalezli go utopionego. Każdy topielec był nagi. Wyglądał jak małe dziecko.

Też światła chodziły. Mnie samego światło prowadziło, jak szedłem do Młyn-

go, ale mi nic nie mówiło. Na końcu znikło. Ja ta wiem, czy to gaz jaki był.

Jak zapamiętałem, co wieś były karczmy. Każdy pan miał trzy, cztery, a już biedny dwie. Z nich Żydzi mu płacili duże czynsze. W Łososinie były cztery, w Młynnem trzy, w Makowicy jedna, na Pasierbcu jedna, w całej parafii najmniej dziesięć. Najwoleli je mieć koło kościoła, bo z niego do nich walili młodzi ludzie. Tam były zaloty, godzili parobków i dziewczki (służące). Im pieniędzy się nie płaciło. Za całą zastugę gospodarz parobkowi dawał pole pod dwa korce owsa i tego owsa na sianie. Jak omłócił, słoma dostawała się gospodarzowi, a owies parobek sprzedawał Żydowi. Nieraz Żyd go pytał:

— *Kiej (kiedy) ta bedzie owies?*

Często parobek pił na kredyt i to zboże szło za długi.

Wołarzowi gazdazasiał korzec owsa. Słoma dostawała się gospodarzowi, a owies wołarz sprzedał i to miał za zastugę. To nazywało się obsiewek. Więcej dostawał parobek i wołarz. Przy tym im dawali ubranie: dwoje zgrzebnych portek, dwie pacesne koszule i buty.

Mój dziadek miał parobka do koni, wołarza do wołów, dziewczki ze dwie, pasterzy dwóch.

Jak ja pamiętam, Łososina miała 50. numer, ale w niej była szkoła trzyklasowa, kościół, cmentarz i 12 radnych. Żaden z nich nie umiał czytać i pisać. Jak wypadło co napisać, przychodził Jurek z Młynnego, co w czterech gminach prowadził pisarstwo. On pisał protokoły. Jak się radni zeszli, to popostawiali krzyżyki. Wójtem był Michał Łacki. On też nie umiał pisać.

Ja urodziłem się w roku 1870. Tu jest moja ojcowizna. Na niej zawsze chowała się para koni, woły, kilka krów. Mój ojciec nie umiał czytać. Matka czytała drukowane. Uczono się czytać na książce do modlitwy. Później nastaly broszurki, to gdzieś taką się wykręciło i na niej uczyło czytać.

1 sierpnia 1962 r.

*Opowiedział Piotr Musiał, lat 92
z Łososiny Górnej.*

Ponad 80 lat temu w okolicy Limanowej był pełny analfabetyzm. Później stopniowo nieliczni się szkolili. Jak zapamiętałem, w Sowlinach umieli pisać: Walenty Czachurski (był wójtem), Jan Czachurski, Błażej Joniec (Miś), Kasper Sułkowski (przewodniczący Kółka Rolniczego), Jan i Michał Dutka z Moczarek, Karol Mamak. Ten, kto umiał czytać i pisać, do kościoła pod pachą niósł kilka książek. Tym dawał znać, że nie jest analfabetą.

Zawsze do kościoła chodzili Wojciech Widomski z Józefem Twarogiem znad

Skrudlaka. Gdy Twaróg coś prawił, Widomski mawiał:

— *Bes, bes...*

Kiedy zaś było odwrotnie, Twaróg się odzywał:

— *Gada, gada...*

Szli, cały czas gwarzyli i wciąż się słyszało ich „*Bes, bes..., Gada, gada...*”. Taka była mowa analfabetów.

Kazimierz Skrzekut (Kutas, ojciec Józefa) często ludzi bawił powiedzeniem „*Dość świata na świecie*”.

Pochodzący ze Sowlin Stanisław Czachurski, brat Walentego przy końcu XIX w. był sędzią, a później naczelnikiem Sądu w Nowym Sączu, gdzie jego staraniem zasadzono dużo drzew. Nie był żonaty. Dobrze się trzymał. Często na ojcowiznę przyjeżdżał do Sowlin. Na pograniczu krzaków Jana Czachurskiego miał polanę obsadzoną modrzewiami. Dziś tam jest parcela gruntowa.

Pewnego razu Stanisław Czachurski poszedł na wesele. Tam napił się piwa, które mu zaszkodziło do tego stopnia, że wnet zmarł. Również się przyjmuje, że przyczyną jego śmierci było zapalenie wyrostka robaczkowego. Lekarze nie zrobili mu operacji, lecz go kurowali różnymi okładami.

W dawnych czasach rano do kościoła zazwyczaj chodziły kobiety, a na sumę mężczyźni i dzieci. Wtenczas drogi były pełne ludzi. Ci, gdy się spotykali, chwalili Pana Boga. Gdy podczas posiłku ktoś przyszedł i zapraszano go do jedzenia, odpowiadał:

— *z Panem Bogiem spożywajcie!*

Cała rodzina drewnianymi łyżkami jadła z jednej miski glinianej, a później blaszanej pobielałej.

Ludzie chodzili w zgrzebnych i paceśnych spodniach i koszulach, które kobiety kijankami prały przy strumykach i wtedy było słycać: klap, klap, klap! Świeża taka odzież gryzła. Gdy po jakimś czasie się ogładziła, przestawała dokucać.

Chłopi z Młyńczysk i Pryszowej z drzewem do Limanowej przyjeżdżali w zgrzebnych i paceśnych spodniach i koszulach. Nie nosili marynarek. Na głowach mieli czapki i kapelusze.

Innego ubrania używano na święta. Latem do kościoła mężczyźni nosili bielutkie gunie w rodzaju płaszczy, bez wyszyć, a w zimie żółte kożuchy. Gdy się weszło na chór, od nich czuć było smród.

Buty używali z cholewami, karbowane. Kawaler miał wysoko karbowane.

Kobiety na plecy kładły pled, na głowę chustkę. Gdy byłem mały, nosiły haftowane gorsety. Na chrzciny matka dziecka i chrzestna matka ubierały czepecę, z tyłu spięte szpilkami.

Ludzie nie znali szaf. Odzież przechowywali w skrzyniach.

W Sowlinach zdarzały się bitki. Raz Kurczaby zbili Abramów i stukli im skrzypce. Po bitkach były sądy. Dlatego ks. Łazarski beszał:

— *Ty złodzieju, bitniku!*

Ponieważ chciał mieć dobrą parafię, na ambonie publikował nawet po nazwiskach.

W areszcie, gdzie obecnie stoi kościół, mało kiedy kto był uwięziony. Najwyżej za jakieś złodziejstwo czy pyskówkę ktoś posiedział kilka dni.

Żelaznych pługów, bron, kultywatorów zaczęto używać gdzieś ok. 1910 r. Pługi żelazne produkował Fröhlich w swych warsztatach ślusarskich w Nowym Sączu. Miały one wielkie wzięcie, bo były dobre.

Wialnie sobie chłopci roili sami. Części wyżniali z desek. W parze zaś gięli bęben, w którym poruszał się wiatrak.

Ludzie nie mieli sieczkarni. Używali skrzynek, przy końcu których był kosak. Podnoszono go, podsuwano trawę, koniczynę, słomę i nim ucinano. Długość sieczki była dowolna.

Młocki wszędzie dokonywano cepami.

Domy były drewniane i bez kominów. Gdy w nich palono, się dymiło, jak z suszarni. Dym uchodził na strych, a stamtąd popod dach na zewnątrz.

W kuchni pod sufitem były takie dwa trażarze (palenia). Na nich suszono drzewo.

Dachy kryto słomą. Tylko z wierzchu kalenice budowano z ubitego perzu. Później to zarosło trawą i po takiej kalenicy można było nawet chodzić.

W Limanowej, dokąd nie było targowicy, nawet bydłem handlowano na rynku.

W owych czasach na drodze z Limanowej do Sowlin trudno było uwidzieć idącego człowieka. Nie było rafinerii. Stał tylko nowopostawiony dworek i do dziś dnia istniejąca chata Stanisłki „na folwarku”. Naprzeciw niej zlokalizowany, dość wdzięcznie się prezentujący dom z gankiem, być może dla brata, sędziego w Nowym Sączu, na swej realności wystawił Walenty Czachurski. Później tę całą posiadłość sprzedał Zelkom, a po nich ją odziedziczył Salamon.

W Sowlinach, chociaż dwór trzymał Kazimierz Mars, to jednak tamtejsza cegielnia należała do Zygmunta Marsa ze Starej Wsi. Ona istnieje już od dawna. Gdy zapamiętałem, stała w tym samym miejscu, w którym dotąd pozostaje. Jej budynek był znacznie mniejszy. Obecny wzniesiono po roku 1900. (Ten w zimie 1988/89 r. został zburzony w związku z zamierzoną w pobliżu budową nowego osiedla. Przez ostatnie kilkanaście lat tę cegielnię używali Grzeszczakowie z Sowlin i na niej grubo się dorobili. — W. G.).

W okolicy Limanowej popod wierzch ziemi ciągnie się cały labirynt przejść i korytarzy. Dawniej, gdy były napady Turków, Tatarów, Szwedów, ludzie tam się chowali. Z tych podkopów co kawałek robiono wylot, stanowiący powietrznik, obok którego z ziemi z niego wyrzuconej powstał kopiec.

Na taki powietrznik natrafiłem pod górą w Sowlinach, tu, gdzie mieszkają Jędrzejki. Do tego doszło w ten sposób. Zauważyłem, że na jednym zagonie wciąż jest sucho. Poszedłem tam, odkopałem ziemię i natrafiłem na dwa płaskie kamienie. Jeden z nich podniosłem i dostrzegłem przepaść. Gdy w nią wrzuciłem kamień, dość długo leciał.

Wejście do tych podkopów znajdowało się w Łososinie, tu gdzie obecnie jest kamieniołom. Była tam krata. W tym miejscu koło drzwi znaleziono pałasz i buty. To wejście limanowskie starostwo kazało zasypać.

*17 V 1959 r. opowiedział Antoni Jabrucki, lat 75,
zam. na terenie z Sowlin
niedawno przyłączonych do Limanowej.*

W dawnych czasach się używało spódnice bardzo szerokie, bluzki pościnane i dopasowane tak jakby niewiasty w nich urosły. Dziewuch takich ciasnych nie chciały. Na te stroje płótno kupowały w sklepie. Bluzki były białe, przy końcach rękawów i na kołnierzu ładnie haftowane.

Mężczyźni się ubierali w górnicze (płaszcz) z Inianego płótna. Spodnie mieli też Iniane, koszule z przodu całe wyszywane razem z końcami rękawów (manszetami) i kołnierzem.

Rano chłopy o drugiej wstawali i męli zboże dla świń i ludzi. Później, jak już umieli, siadali do jedzenia. Najczęściej jedli gęstą kaszę z mleczkiem i ziemniaczki z żurem. Jak sobie już pojedli, to chłopy szli na boisko młócić cepami, a kobiety do kądzieli prząść. Każdy się uwijał na galop.

W południe kobiety dalej przędły, a jedna w każdej chałpie gotowała obiad: kapustę, ziemniaki, bób, do jedzenia podawany z kwaśnym mlekiem.

Jak ugotowali, zabierali się do jedzenia. Jedli wszyscy razem przy jednym stole z drewnianej miski, podobnej do cebrzyka, nazywanej szaflikiem.

Przed jedzeniem każdy się modlił: „*Ojcze nasz*” i „*Zdrowaś Mario*”, a po obiedzie „*Anioł Pański*”.

Potem chłopy dalej szli do cep, a kobiety do kądzieli, wyszywania itd.

Na wieczór, jak chłopy zeszedli z boiska, szli do melcia na chleb. Zaś kobiety przędły, a niektóre gotowały kaszę na kolację.

Tylko w niedzielę na śniadanie jedli chleb z mlekiem. To już były takie cuda.

Gotowali na nalepie. Nad ogniem na haku wisił kocioł. Dym uchodził do dziury w powale, co się nazywała woźnicą. W kuchni było niewidzieć od dymu. Od niego ludzie cali byli okopcali i od nich dym śmierdział.

Domy wszystkie były drewniane, kryte słomą, okna małe, jednokwaterowe, drzwi na „żabach” (biegunach), zamykane na kołowrotek.

W jednym miejscu gotowali kolację, mieli woźnicę taką dużą jak drzwi. I przyszło do nich dwóch Cyganów. Jeden udał się do kuchni, a drugi po drabinie wtargnął na strych. Świnia była zabita i tam półce spyрки (słoniny) na drążku wisiły między krokiewiami. Cygan to uwiidził, złapał, jeden poteć na ramię zarzucił przed, a drugi za siebie i ucieka. Nagle woźnicą wpadł do kuchni, stanął na nogach i krzyknął:

— *Dobry wieczór, gazdo! Może byście se spyрки kupili?*

A było pełno dymu i nikt nie widział, co Cygan miał na ramieniu. Gospodyni wtedy gada:

— *Momy pełno spyрки* — to Cygan powiedział:

— *Do widzenia!* — i poszedł.

Za chwilę gospodyni ugotowała wieczerzę i na górę (strych) idzie po spyrkę, a tu jej nie ma. Bo Cygan wziął.

Trzech chłopów młóciło na boisku. Jeden tak plecie:

— *Wiyecie chłopcy, mówi, że jak się kto wiyso, to mu muzyka piyknie gro. Jo bym spróbował, a jak bym się dusił, żebyście mnie odcioł.*

Oni pedzieli:

— *Dy my ta łod tego so.*

Tak spróbował. Wtedy przed boisko przyszły zajęce i zaczęły się żreć tak, że aż z nich sierść leciała. Chłopcy łap za cepy i wio za nimi. Co mieli je rypnąć, to one umykały. Kawał ich odprowadziły od boiska. Jak już się chłop udusił, zginęły i wtedy ci wracają, ale patrzą, a on już nie żyje.

W pewnym miejscu w połowach tego samego domu mieszkali Żyd i chłop. Obaj handlowali cielętami, bili je i mięso ludziom sprzedawali. Jednego razu się powadzili. Żyd się zdenerwował i przed progiem założył czary. Obaj wychodzili jednymi drzwiami. Chłop patrzy i myśli se tak: *Tyś taki mądry, ja będę mądrzejszy.* Całej swojej rodzinie zakazał wychodzić na pole. Żyd cosik (coś) sobie robi, niech se ta robi.

Rano jak maciuکو się miało na dzień, chłop głowę wystawił na pole i umyślnie zawołał, żeby Żyd usłyszał:

— *Gazdo, wiele kcecie za to cielo? Chodźcie tu!*

Wtedy nagle Żyd się zerwał i wio na pole. Lata koło domu i szuka, gdzie jest ten gazda. Chłop zaś się skrył, śmiał i wreszcie powiedział:

— *Oj, Żydzie, Żydzie, na kogo ześ to załozoł? Som ześ se to przeskocoł.*

Potem Żyd się rozchorował i z pępka robaczyska mu lały. Na to nikt mu nie poradził.

Jednego rano chłop prędko siał zboże, bo się zabierało na deszcz. Wtedy idzie wędrowny i się odzywa:

— *Scoś Boże, gazdo! Co sie tak uwijocie?*

A gazda powiada:

— *Mi sie śpiesy, bo sie chmuro. Zaleje mi, to jakże wsiejo.*

Na to wędrowny mu mówi:

— Nie siyjcie, bo z wasze roboty nic. Chodźcie, gazdo, usiodźcie se. Niek ta leje. Jak wom powiom, siyjcie roz dwa.

O jedenastej godzinie wędrowny popatrzył po niebie i gada:

— *Teroz siyjcie, ale roz dwa, uwidzicie co bedzecie mieć z tego, co rono zasione i teroz.*

Chłop wsiał. Przyszły zbiórki. Okazało się, że spełniła się przepowiednia wędrowca. Któż ta wie, kto to był.

Do stępek ludzie przeważnie sypali jęczmień, go pokropili siadali i bili kamieniem w jedno miejsce. Zboże, co już było otłuczone, rozchodziło się po krajach (brzegach). Ten otłuczony jęczmień ludzie nazywali pęcakiem. Potem go wiali na niekach, żeby odleciały plewy, płukali kilka razy i gotowali. Jedli ze słodkim mlekiem i kapustą.

Choroby ludzie leczyli ziołami i zażegnawali.

Na weselach, jak się mieli do czepin, panie młode często uciekały i je szukali. Jedna wpadła w bróg pomiędzy ściany i ta się udusiła. Inna znów kazała się schować w skrzyni, na której usiedli ludzie. Choć pukała, jej nie puszczały i się udusiła.

Dziady śmigusne były okręcone słomą. W czapce miały kolce, żeby jej ktoś im nie ściągnął. One wyraźnie nie gadały, ale mruzczały. Jak ktoś coś im dawał, się odsuwały, żeby go odciągnąć i zlać.

Przy śmigusie dochodziło do nieszczęść np.: chłopcy chwycili jakąś dziewczkę, rozhuścili i rzucili do stawu, prosto na wbity pał, co spod wody nie był widoczny.

*W 1961 r. opowiedziała Anna Jez
(siostra ks. prałata dra Ludwika Kowalskiego),
lat 75, pochodząca z Łososiny Górnej,
zam. na terenie z Sowlin niedawno przyłączonym do Limanowej.*

Matka mojego ojca pochodziła z Kurczabów, biednej, sowlińskiej rodziny budziarzy. Tacy budziarze nie mieli nic do gadania. Jej ojca zabrano do wojska i wysłano na wojnę taliańską (włoską). Nie było go dwanaście lat. Babka myślała, że już się

gdzieś zatracił.

Jednego razu przed wieczorem do niej przychodzi jakiś wędrowny. Ona mu się patrzy i go pyta:

— *A skodze to Pan Jezus prowadzi?*

On zaś ją zagadnął:

— *A może byście mnie ta przenocowali?*

Babka bardzo się zafrasowała i mu radzi:

— *Widzis, ze tu u mnie jest budzina. Idź do gospody.*

Wtedy on się dziwuje:

— *A to wyście, mammo, mnie nie poznali?*

Na skutek tego powiedzenia babka zemdląa.

Ten to dziadek przy wojsku poznał kowalstwo i sobie przywiózł gwintownicę, czego dawniej ludzie u nas nie znali. Wszystkie rzeczy mieli nitowane. Wtedy też nie znali łańcuchów i gązwy do rzma, a używali brzożowych witek. Tenże dziadek założył kuźnię i zaczął robić śruby. Miał bardzo wielkie powodzenie, bo był znakomitym kowalem, ale wnet zmarł.

W dawnych czasach, w którym roku nie wiadomo, jeden z naszych pradziadów (Szewczyków) służył we dworze. Wtedy panowie szykowali się na powstanie. Całymi dniami lniane płótno nożami skrobali na mech do okładania ran. Ta wata dobrze goiła rany. Szlachta od Limanowej też naszykowała dobrego jedzenia i napitku. Wybierała się do Królestwa. Naszego pradziadka ci panowi wzięli z końmi. On wiózł Czeczutków. Zajechali do jakiejś miejscowości w Królestwie. Tam w lesie zaobozowali, jedli, pili. Parobkom kazali pilnować wszystkiego. Nasz dziadek zauważył, że coś się kurzy i słycać tętent koni. Poleciał do obozu i krzyknął:

— *Kozaki jadą! Ratujcie się, bo nas zasieką!*

Któryś z panów na to go wyszydził:

— *Idźże, idź. Popiłeś se aboś sie nie wyspał.*

Nie uszło 3 zdrowaśki, Kozacy wpadli, i zasiekli wszystkich którzy nie uciekli. Tak się skończyło powstanie naszych panów.

We wsi Sowliny pod Bzdyczką w XIX w. żył Kazimierz Leśniak, zwany Zimniakiem. Był biednym budziarzem. Robił trumny, które zbijał kołkami. Jeździł „na saksy”. Tam poznał facjaty i je wprowadził w rodzinnych stronach, gdzie dotąd dachy chat były tylko czterospadowe. Traczną piłą narżnięto desek i te facjaty z nich zbija no.

W dawnych czasach ciemnota była straszna. Całe życie wsi skupiało się wokół dworu i karczmy. Jedna była w soślinie u Kurczabki, powyżej cegielni. Zagony chłopci orali pięcioskibowe, aby każdy z nich jedna osoba mogła objąć przy żęciu zboża.

Pola łokowali przez dwa lata. Hodowali woły. Na jarmarki chodzili piechotą. Kobiety musiały tak cienutko prząść, żeby łokieć nici przeszedł przez ślubną obrączkę. Kołtuna nie można było ścinać.

*2 VI 1963 r. opowiedział Michał Szewczyk, lat 41,
zam. na terenie z Sowlin niedawno przyłączonym do Limanowej.*

Przy limanowskim kościele ks. Kazimierz Łazarski utrzymywał 12 dziadów, którzy mieszkali obok cmentarza w specjalnie dla nich wybudowanym domu, zwanym szpitalem. Ich obowiązkiem było zamiatanie kościoła i dzwonienie (sygnowanie). Sygnowaniem najczęściej zajmował się jeden z nich, który wciąż stał przy pasie od sygnaturki. Ci dziadowie od święta nosili specjalne płaszcze z czymś w rodzaju kapuz. Czasem chodzili na żebry. Zawsze w domu przy cmentarzu było ich dwunastu. Gdy któryś zmarł, na jego miejsce ks. Łazarski dobierał innego. W Święto Zmarłych wszyscy w dwu szeregach stali z jednej i drugiej strony bramki cmentarza, a ludzie zdążający do grobów swych bliskich im dawali ofiary, za co gorliwie się modlili.

Gdy w 1947 r. proboszczem został ks. prałat dr Ludwik Kowalski, ich przeniósł do plebańskiego majątku w Lipowem, aby go uchronić przed zajęciem na PGR. Jednak to zakończyło się niepowodzeniem i ich wywieziono nie wiadomo gdzie.

W dwudziestoleciu międzywojennym niektórzy chłopi z okolicy Limanowej swymi końmi prawie przez cały tydzień z Żydami po towar jeździli do Nowego Sącza. Również na jarmarki jeździli do Nowego i Starego Sącza. O godz. 4 na rynku stawali pod św. Florianem, a o 8 już byli w Nowym Sączu. Także na swe furmanki za opłatą 50 gr zabierali pasażerów. Ci do Wysokiego musieli iść pieszo, a dopiero stamtąd jechali. W ogóle tam, gdzie było pod górkę, to schodzili z wozów. Drogą ciągle sobie gwarzyli i czas mijał im szybko.

*W 1961 r. opowiedział Jakub Bieda,
lat 48, zam. w Sowlinach.*

W dawnych czasach chłopi w nocy sieczkę różnieli w skrzynce na kosaka, a kobiety przędły przy palących się na nalepie brzożowych „szczypkach”. U nas, gdyśmy zebrali zboże, do drugiej godziny w nocy tak świeciliśmy, siedzieli, przędli i opowiadali. Pasterze przez całą noc pasali bydło, a rano szli do roboty u swoich rodziców lub bogatych gospodarzy.

Ludzie kisili karpielowe liście. Ziemiaki się nie rodziły, więc w jesieni je chowali do skrzyni na sadzenie. Kto nie miał beczki na kapustę, ją trzymał w dole w moczarach. Tam naładował jej dwie fury i okrywał darniami ziemi. Na wiosnę chłopi to odwalali kilofami i brali po parę główek kapusty dobrze ukiszonej.



Ludzie suszyli gruszki, z których robili kompoty. Często na kolację zgryźli garstkę takich gruszek, napili się trochę wody i szli spać. Bieda wtedy była nie tylko u ubogich, ale i u bogaczy.

*W 1962 r. opowiedziała Rozalia Wojtas, lat 77,
zam. na terenie Sowlin niedawno przyłączonych do Limanowej.*

Gdzie tam dawniej ludzie chleb jadal. U mojego dziadka (Walentego Biedy w Sowlinach pod nr 52) zarobnikom dawali po półowce chleba albo kołacza. Niektórzy z nich gadali, że za to opłaci się iść do roboty. Na każde zawołanie było nieraz 15 ludzi. Władek Czaja i Józek Wroniak również wtedy przychodzili i żęli za byle co.

*W 1961 r. opowiedziała Anna Gawron, lat 54,
zam. w Sowlinach.*

75-LECIE LZS „GRYBOWIA” — Z HISTORII KLUBU W LATACH 1921–71

Początek zorganizowanego ruchu sportowego w Grybowie datuje się na rok 1892. Wtedy to **Wincenty Węgrowski**, dyrektor Kasy Zaliczkowej, **Michałowski**, sekretarz Izby Skarbowej, **Antoni Heiman**, naczelnik Sądu i **Seweryn Gzowski**, dyrektor Szkoły Kowalsko–Stolarskiej, założyli Towarzystwo Gimnastyczne „Sokół”.

Jego działalność rozwijała się nie tylko w kierunku sportowym (sekcja gimnastyczna), ale także artystycznym (sekcja teatralna, chóralna i muzyczna).

Po 1900 roku przybyli nowi działacze. Dla przykładu wymienię **Honoratę Pers**, nauczycielkę, **Marę Studnicką**, kierowniczkę szkoły żeńskiej, **Michalika** ze Starej Wsi, Naczelnika „Sokoła” do I wojny światowej, **Ryszarda Kosińskiego**, kierownika szkoły w Siołkowej, dra **Litwickiego**, sekretarza „Sokoła”, ks. **Jana Solaka**.

W 1908 roku przystąpiono do budowy własnego obiektu sportowego i kulturalnego z takim zapałem, że po kilku już latach stała wyposażona we wszystkie urządzenia i przybory pełnowymiarowa jak na owe czasy sala gimnastyczna wraz z przybudówkami do celów kulturalno–oświatowych.

Z chwilą oddania do użytku sali gimnastycznej działalność sportowa w Grybowie ożywiła się jeszcze bardziej i nie przerwał jej nawet wybuch I wojny światowej. Niestety, nowowyprowadzony budynek „Sokół” został poważnie uszkodzony podczas bitwy gorlickiej.

Po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku organizacja wznowiła działalność. Sekcja gimnastyczna liczyła wtedy 60 członków.

W latach 20. uaktywnili się nowi członkowie „Sokoła”, do których należy zaliczyć **Zygmunta Chmielewskiego**, **Mieczysława** i **Wincentego Szpakowskich**, **Szczepana Pajora**, **Stefana Maciejowskiego**, **Henryka** i **Franciszka Olszewskich**,

i **Józefa Warzechę.**

W tym czasie zorganizowano za budynkiem „Sokoła” kręgielnię.

W latach 30 rozwinęły się dalsze sekcje sportowe: piłki nożnej, siatkowej, koszykówki, hokeja na lodzie. Uprawiano również tenis ziemny na korcie urządzonym obok budynku.

Dzięki atrakcyjnej działalności, a między innymi dzięki publicznym gimnastycznym pokazom, przybyli nowi członkowie, między innymi **Pelagia Sarkowicz, Skalska, Brachówna i Maciejowska**. Z mężczyzn należy wymienić **Zbigniewa Maciejowskiego, Edmunda Pajora, Karola Warzechę, Marcela Obrębskiego, Józefa Mordarskiego**.

Wybuch II wojny światowej przerwał działalność „Sokoła” na terenie Grybowa.

Działalność Polskiego Towarzystwa Gimnastycznego „Sokół” nie była jedyną na terenie miasta. 22 stycznia 1899 roku powstało kulturalno-oświatowo-sportowe Towarzystwo „Przyjaźń”, a w okresie międzywojennym — żydowski klub sportowy z bardzo silną sekcją piłki nożnej.

Jak jednak można stwierdzić z perspektywy historii, najbogatsze i najdłuższe dzieje ma powstały w 1921 roku Klub Sportowy „Grybovia”. Wkrótce po swym powstaniu liczył około 40 członków obejmując trzy sekcje piłki nożnej. Pierwszymi najlepszymi zawodnikami byli **H. Nalepa, St. Sekuła, K. Sokołowski, W. Kosiński, T. Kosiński, W. Führer, F. Szpakowski, J. Warzecha, P. Brach, I. Eisen, J. Neugröschel, Wolff, Westreich**.

Duży napływ młodzieży do klubu spowodował założenie nowych sekcji gier sportowych: hokejowej, piłki siatkowej i koszykowej.

W 1927 roku „Grybovia” została wchłonięta przez Towarzystwo „Sokół”, co zmieniło nieco charakter działalności sportowej klubu. Pojawiły się akcenty polityczne. Mimo to młodzież, odczuwając głód swobodnego sportowego wyżycia i rozrywek kulturalnych, chętnie garnęła się do tej organizacji, posiadającej w dalszym ciągu sekcje sportowe.

Klub prowadził różne sekcje, ale największe sukcesy odnosił w piłce nożnej, rozgrywając zawody na boiskach Nowego Sącza, Krynicy, Jasła, Gorlic, Glinika Marianopolskiego, Tuchowa, Ciężkowic, Przemyśla i Lwowa.

Najaktywniejsi zawodnicy lat 30., to **Wiktor, Adam i Stanisław Mordarscy**, inż. **Jan Heiman, Kazimierz Czaplinski, Józef Maciaszek, Jan Syguliński, Tyralik, Władysław Burtan, Włodzimierz Zapała, Fijałkowski, Julian Rutkowski**, kapitan drużyny, **Wojciech Fyda, Roman Witek, Jan i Tadeusz Tymbarscy, Józef Gawryś i Jan Brzeicki**. Trenerem drużyny był **Tadeusz Bieniawski**.

Podczas II wojny światowej działalność klubu została poważnie ograniczona, a później przerwana. Stało się to po wygranej meczu z drużyną niemiecką.

Po wojnie wznowiono działalność w 1947 roku. Wydarzenie to zainicjowali miejscowi działacze sportowi okresu międzywojennego: **Stefan Bodak**, Józef Gawryś, **Jerzy Gostwicki**, Franciszek Olszewski, Wincenty Szpakowski i Włodzimierz Zapala. Jeszcze przed formalnym założeniem klubu dzięki aktywności nauczycieli Szkoły Zawodowej młodzież rozpoczęła rozgrywki. Wreszcie powołano zarząd, a klub przyjął nazwę Robotniczy Klub Sportowy „Grybovia”. Prezesem został Franciszek Olszewski, wiceprezesem **Władysław Rogoziński**, skarbnikiem **Adam Skinder** (do 1948 roku) i Zbigniew Maciejowski (od 1949 roku). W pierwszym okresie działania sekcję piłki nożnej, skupiająca około 15 członków, rozegrała 2 mecze nieoficjalne i 8 oficjalnych.

Po bogatym sezonie piłkarskim, w okresie zimowym, rozpoczęły działalność sekcje narciarska i teatralna.

Przez pierwsze dwa lata mecze były rozgrywane na małym, zwanym przez prasę „lilipucim” boisku na Plantach, gdzie można było grać tylko w dziewiątkę. W tym czasie dzięki pracy społecznej zawodników i członków klubu wyrównano płytę boiska, a ojciec zawodnika **Szwarkowskiego** wykonał bezinteresownie bramki. Czerwone spodenki uszył z flagowego płótna zawodnik **Jan Brzezicki**, a białe koszulki — **Michalina Bodak**. Butów była początkowo jedna para, potem dwie następne zakupiła Szkoła Mechaniczna. Zawodnicy podczas zawodów otrzymywali po jednym butcie. Na mecze wyjazdowe byli przewożeni prywatnym samochodem Zb. Maciejowskiego i samochodem Browaru grybowskiego.

Ze względu na uciążliwy brak boiska zimą na przełomie 1947/8 roku sfinalizowano z ks. Janem Solakiem umowę o dzierżawę terenu nad rzeką Białą pod boisko sportowe. Oddano je do użytku 15 sierpnia 1948 roku. Z uroczystości tej pozostała księga pamiątkowa z drewnianą, bogato rzeźbioną oprawą, zawierającą podpisy gości, zawodników i działaczy.

Wiosną 1948 roku powstały sekcje tenisa stołowego, szachowa i motorowa, której opiekunem był dr **Artur Kwiatek**.

Do klubu wstąpili nowi członkowie, piłkarze: **Franciszek Cebula**, **Julian Mazanek**, **Kazimierz Mordarski**, **Stanisław Wojtasiewicz**, **Józef Dziedzic**, **Mieczysław Matusik** i **Zbigniew Mordarski**.

Działacze klubu napotykali na trudności finansowe spowodowane brakiem jakiegokolwiek dotacji. Zarząd zdobywał fundusze z imprez dochodowych (festyny, zabawy, zawody) i datków okolicznościowych składanych przez miejscowych sympatyków sportu. Również działacze klubowi: **Maksymilian Wołkowicz**, Zb. Maciejowski, Zapala, **Rak** i inni wspomagali klub finansowo oraz na własny koszt organizowali poczęstunki dla zawodników po meczach. Z grybowskich zakładów Browar najczę-

ściej dostarczał samochodu do przewożenia zawodników. W tym roku „Grybovia” awansowała do klasy B.

W 1949 roku klub otrzymał nową nazwę „Związkowiec” i przeszedł pod opiekę Ludowych Zespołów Sportowych. Jego przewodniczącym został **Czesław Wrześniak**. Klub rozrósł się do ponad 100 osób, a ambicje działaczy zaczęły sięgać A-klasy, co udało się jednak dopiero w połowie lat 50. Dla lepszego przygotowania zawodników, zarząd zaangażował trenera **Lomiszkę**, dojeżdżającego z Tarnowa na treningi dwa razy w tygodniu. Z okazji dożynek rozegrano zwycięski mecz z drużyną ze Starej Lubowni, na który przybyło 4,5 tys. widzów. Pod koniec roku prezesem został Czesław Wrześniak. Zainteresowanie sportem było duże, o czym świadczy ilość sprzedawanych na mecze biletów. Otóż sprzedawano ich około 1500–2000, a nadmienić należy, że Grybów miał w tym czasie 2500 mieszkańców.

W kolejnych latach sekcja piłki nożnej działała ze zmiennym szczęściem, więc obok niej zaczęły tym bardziej rozwijać się inne sekcje, a zwłaszcza hokeja na lodzie. W miejscowych szkołach znalazło się wielu chętnych do uprawiania tej dyscypliny sportu, którzy zasilali następnie klub. W tej sytuacji dawne boisko sportowe na Plantach przebudowano na potrzeby tej sekcji. Ciekawostką jest również to, że wśród takich typowo sportowych sekcji, jak wspomniane już piłki nożnej, hokeja na lodzie, narciarskiej, tenisa stołowego oraz piłki siatkowej, lekkoatletycznej, motorowa i szachowej, działała również sekcja imprezowa i teatralna.

W połowie lat 50. widać pierwsze objawy osłabnięcia aktywności klubu. Odeszli starsi zawodnicy i działacze. Wśród pozostałych rozpoczęły się osobiste nieśnaski. W roku 1958 piłkarze spadli do B-klasy, a następnie wycofali się prawie wszyscy starzy i doświadczeni działacze. Spadło zainteresowanie społeczeństwa grybowskiego sprawami klubu, zmniejszyła się ilość sekcji, w końcu pozostała tylko piłka nożna. Tymczasem nawet tylko ta jedna sekcja przestała odnosić sukcesy i z trudem utrzymywała się w B-klasie.

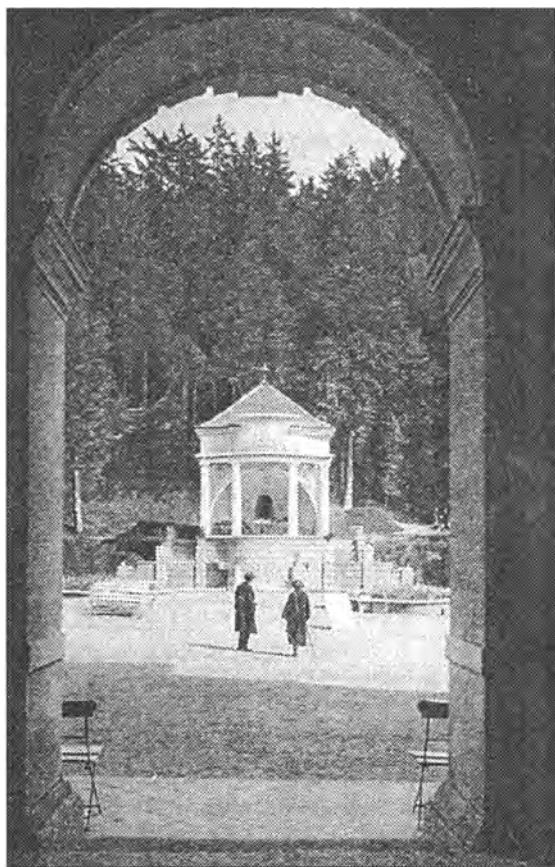
Nowy zarząd z **Ryszardem Wójcikiem** na czele, wybrany 1963 roku, nie bacząc na trudności finansowe, postanowił rozszerzyć działalność. Jednak wyniki sekcji piłki nożnej pozostawały nadal wiele do życzenia. Tymczasem do dotychczasowych trudności doszły nowe. Klub stracił swe boisko, gdyż na jego miejscu zaczęto budować stadion sportowy. Mecze mogły być rozgrywane gościnnie, np.: w Bobowej. Równocześnie powoli zaczęła poprawiać się postawa zawodników, a co za tym idzie — wyniki. Nadal miejscowe władze nie udzielały pomocy klubowi, tak, że cała praca spadła na barki jednego człowieka, prezesa Wójcika.

Budowa nowego stadionu posuwała się naprzód z wielkim trudem. Prócz trudności finansowych (ogólny koszt wyniósł 3,5 mln zł) dawały się we znaki przeszkody

terenowe. Liczne obfite źródła bijące na terenie przyszłej płyty boiska wykluczały niemalże użycie ciężkiego sprzętu. Wreszcie wyrzeczenia sportowców i wielkie zaangażowanie w tę inwestycję władz miejskich z **Kazimierzem Bandykiem** na czele zostały uwieńczone uroczystym otwarciem stadionu. Nastąpiło to w 1971 roku.

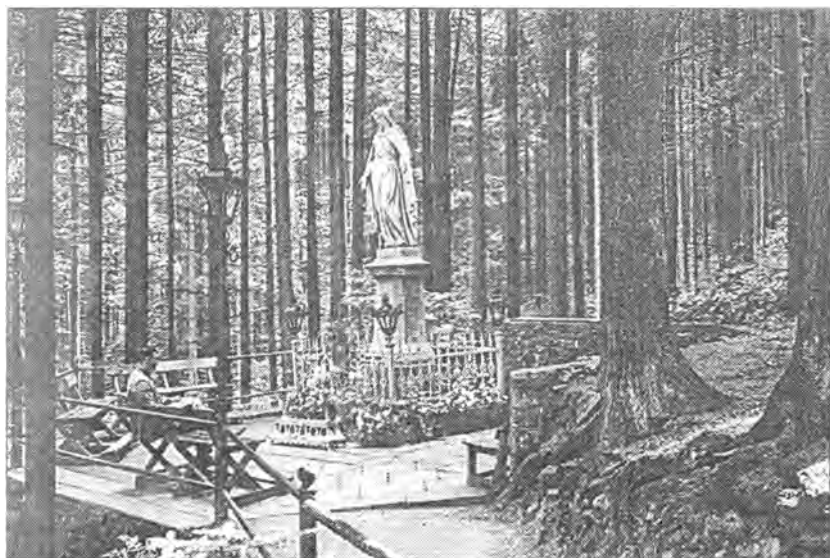
Opracował: Andrzej Wasiak

KRYNICA NA STAREJ WIDOKÓWCE CZ. III



Do ciekawych wido-
kówek, które pokazu-
jemy obecnie należą:

*Krynica — Altana
orkiestry na
Deptaku,
wyd. „Sztuka”*



Krynica — Figura Matki Boskiej w Parku, Fot. Mucha, Nr 50



*Krynica — Plantacje z pomnikiem A. Mickiewicza, Foto St. Mucha.
Kraków, Nr 37*



**Krynica — Kolejka na Górę
Parkową, Czytelnik, Seria k.
Nr 14, Fot. E. Falkowski,
M. 48050**

**Lasy Góry Jasiennika i Huzarów,
Foto. St. Mucha, Kraków**





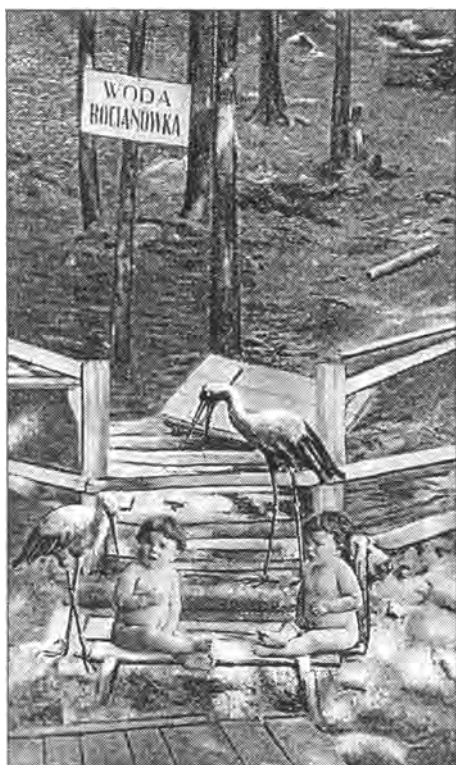
**Krynica — Dworzec, Zakłady
Reprodukcyjne „Akropol”,
Kraków XXII, O 29**



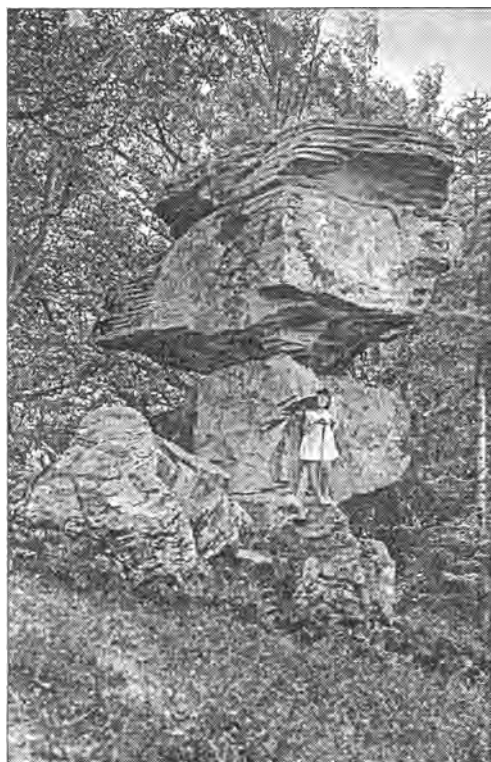
**Krynica — Wieża do
zjazdów narciarskich,
Foto. Z. Garzyński
N. 2270 „Ruch”**



**Krynica — Widok z Góry
Parkowej, Foto St. Mucha,
Kraków Stempel
18 III (19) 36, 15**



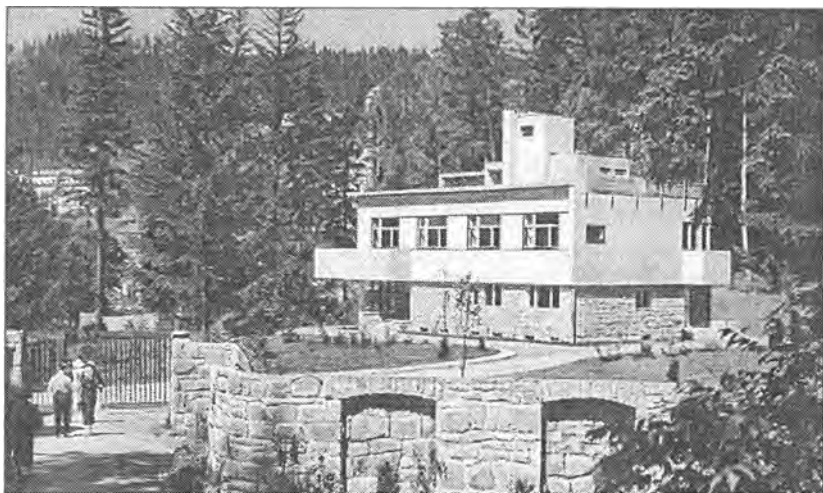
**Krynica — „Bocianówka”
Depose 1935, Nr 25, Sztuka
Kraków**



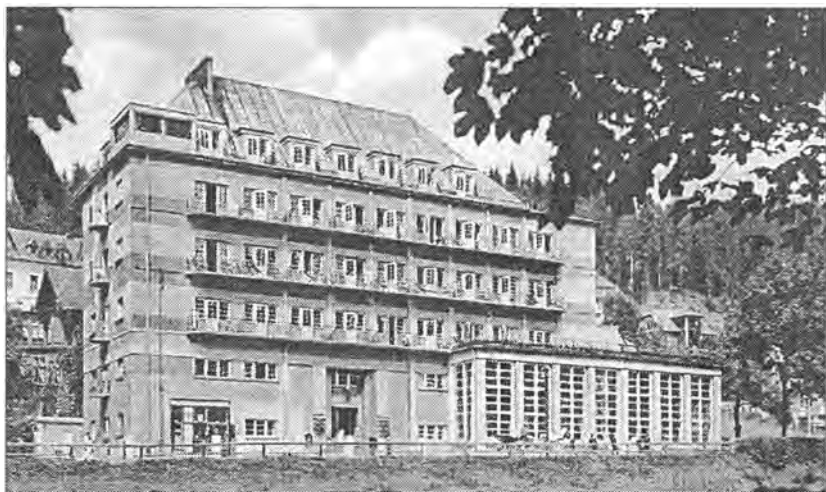
**Krynica — Diabelski kamień
na Jaworzynie,
Fot. St. Mucha, Kraków**

**Krynica — Wieża na Górze
Parkowej. Skład główny
J. Wojciechowski, Krynica,
k. 51, 491, Nakładem
Administracji „Poznaj
Świat”, Kraków**





Krynica — Dyrektorówka. Domek Pana Prezydenta, Fot. St. Mucha. Kraków, Nr 105



Krynica — Oficerski Dom Wypoczynkowy, Fot. St. Mucha, Kraków Nr 181

Wyżej reprodukowane pocztówki pochodzą ze zbiorów Antykwarni–Księgarni „Niezależna” w Częstochowie.

MAREK BASIAGA — BUNT CZY SAMOAKCEPTACJA?

Życie w miasteczku średniej wielkości ma swoje zalety, ale też i wiele niewątpliwych wad. Nie każdy, jak w zupełnie już małej mieścinie, zna się z każdym z widzenia, nie każdy jest przymusowym sąsiadem, któremu trzeba się ukłonić, czy porozmawiać o pogodzie, czy o kłopotach najbliższego współziomka. Funkcjonuje też — lepiej lub gorzej — komunikacja miejska, co ma swoje niewątpliwe zalety.

Ale takie niby–małe, niby–duże miasta mają też tzw. ambicje. Chcą usilnie być centrami kulturalnymi, czego oczywiście nie mogą zrealizować. Środowisko artystyczne — a o nim tu głównie mowa — nie ma szans być szerzej znanym w Warszawie, Krakowie czy Poznaniu. Ale mimo to ma swoje ambicje kulturalne. Tworzy się z tego wiele „Wielkich” na niby inicjatyw kulturalnych, chce się dorównać naprawdę ważnym ośrodkom realizując kilka festiwali, spotkań, imprez z reguły prosząc do tego siły z innego „większego” ośrodka wyrażające się tzw. znanymi nazwiskami. Bo musi być dobrze, wspaniale — słowem — europejsko. Ale wychodzi nijako, sztampowo, drogo i właściwie można zobaczyć taką samą imprezę w Łomży, Ostrołęce czy innym takim niby–małym, niby–dużym mieście, nawet w najodleglejszych krańcach Polski, co prowadzi do zuniformizowania kultury, a także spetryfikowania jej przez stale odmieniane te same nazwiska.

Dlatego sytuacja artysty mieszkającego w takim mieście jest z góry zła. Z jednej strony poprzez bycie na prowincji z reguły nie jest on człowiekiem znanym (z cóż dopiero uznanym) przez Wielkie Nazwiska Warszawy, Krakowa czy Poznania, nie występuje w popularnych programach telewizyjnych typu „Kawa czy herbata”. Z drugiej zaś strony miasteczko średniej wielkości właśnie dlatego nie może się dowiedzieć, że w jego murach może istnieć twórca o oryginalnym i nieprzeciętnym talen-

cie, gdyż go po prostu nie zauważa, bo nikt nie jest prorokiem itd., zresztą bliskość obiektu obłąskawia go i zmusza do przyjęcia skromnych proporcji (znałem go, chodziliśmy do tej samej budy, po tej samej ulicy itp. itd.), bo jest swój, pod bokiem... Taki ambitny twórca najczęściej wyjeżdża do większego ośrodka — przykładem **Andrzej Warzecha**, **Andrzej Ziemianin** z Muszyny, czy **Mira Kuś** z Gorlic, którzy zrobili karierę w Krakowie, a przez to i ogólnopolską — albo godzi się ze sprawami małego miasteczka, żyjąc jego życiem, zgadzając się na prowincjonalnego twórcę i takież życie, albo godzi się na swoją „wartościowość w cieniu” zajmując się zwykłymi codziennymi sprawami, ale nie biorąc gorącego udziału w krwiobiegu życia kulturalnego miasteczka np. **Władysława Lubasiowa** czy Marek Basiaga, o którym w artykule tym mowa. On też został w Nowym Sączu, godząc się na wszystkie wynikające z tej sytuacji implikacje, choć mógł pozostać w Łodzi czy Krakowie. Nie potrafię odpowiedzieć, czemu tak postąpił, zastania się względami rodzinnymi, choć to dość kompromisowe, a może nie miał tzw. siły przebiccia, to znowu dość wątpliwe, gdyż utrzymuje kontakty twórcze, zwłaszcza z Krakowem.

Bohater tego artykułu, **Marek Basiaga**, urodził się 27 lutego 1952 r. w Nowym Sączu na tzw. Mieście. Uczęszczał najpierw do szkoły im. Adama Mickiewicza, a później Kr. Jadwigi, by maturę uzyskać w I LO im. Jana Długosza. Pracował w wielu dość dziwacznych dla poety zawodach, w końcu ukończył studia na Uniwersytecie Łódzkim, gdzie pracował kilka lat jako historyk filmu. Jak to się mówi, zapowiadał się. Napisał kilka cennych prac naukowych, ale powrócił do rodzinnego miasta. Powodem powrotu Marka Basiagi była, jak sądzę, nostalgia za ziemią sądecką i, czego nie trzeba ukrywać, niechęć zdawania egzaminu z filozofii marksistowsko-leninowskiej, co było wówczas *conditio sine qua non* obrony pracy doktorskiej. Sam wspomina te czasy dobrze: *„Poznałem tam ludzi, którzy mieli autentyczny talent i byli po prostu dobrzy. Tego za bardzo nie widziałem w swoich rodzinnych stronach.”* Lekka to przesada. Przecież Nowy Sącz to nie tylko ludzie, ale i miasto, budynki, zabytki, ziemia sądecka, rzeczki, doliny, zieleń, błękit nieba i wszystko, czego sądeczanin nigdy nie zapomina.

Wiele lat wcześniej, gdy Basiaga mieszkał jeszcze w Nowym Sączu, był on swoistym *enfant terrible* sądeckiej bohemy artystycznej. Długo w nocie przy szklance wina czy kielichu tęgiej wódki toczył wojaze z malarzami **Ryszardem Pietrkiewiczem**, **śp. Stanisławem Kuskowskim**, **Robertem Deptułą**, wspomnianymi Warzechą i Ziemianinem, i wieloma innymi czcicielami sztuki. Nie były to rozmowy bezowocne, prócz nieodpartego kaca przynosiły nowe i inne, bogatsze i ostrzejsze widzenie świata, głębiej widzenia, wielorakość rzeczy, co przyszły poeta skrzętnie notował w swej pamięci.

Jakoż i w tych latach debiutował. W r. 1974 wydrukował wiersz pt. *Wyrok* w „*Życiu Literackim*”, który był jednym z ostrzejszych wejść w poezji tych lat. Zacytujmy w całości pewien entrefilet redakcyjny znanego i poważnego warszawskiego pisma, które dzisiaj jeszcze istnieje, by też przypomnieć ludziom mającym krótką pamięć, jak się kiedyś traktowało twórców. Jest to, oczywiście, jak na owe czasy przystało, artykuł nie podpisany:

“...poeta poeta...”

*Są tematy wymagające wyjątkowego taktu i wyjątkowej odpowiedzialności. Takim tematem jest praca organów wymiaru sprawiedliwości, trudna praca ludzi, którzy skazują lub uniewinniają, oskarżają lub bronią — realizując zasadę wymierzania sprawiedliwości. Wiedzą o tym ludzie piszący o pracy sądu: reporterzy, publicyści, pisarze. Zapomniał jednak o tej — zdawałoby się elementarnej prawdzie — młody poeta, Marek Basiąga, który napisał sobie taki oto wiersz pt. *Wyrok*, wiersz zamieszczony w „*Życiu Literackim*” (nr 46) na kolumnie *Wiersze młodych*.*

*w końcu stoję
ze zwieszoną obojętnie głową
odpowiadam na idiotyczne pytania sądu(...)*

Niewybredne słownictwo, dalekie od poetyckiej finezji skojarzenia, pogarda i bezceremonialność w opisanu sytuacji dziejącej się przed sądem — to tylko początek wiersza, którego cytowanie — przy całym szacunku dla zasad polemiki prasowej — uznaliśmy za zbędne, niepożądane. Dalsza jego część, zwłaszcza klimat samego wiersza, musi szokować czytelników nie tylko z prawniczego kręgu. Budzić musi ten utwór także odruch protestu u wszystkich, którzy uznają i szanują społeczną rangę sądu, pracę oskarżyciela i obrońcy, którzy autorytet sądownictwa pragną umacniać, a nie pomniejszać. Tylko człowiek lekceważący tę rangę i ten autorytet zdobyć się mógł na słowa zniesławienia ludzi w togach, którym inni ludzie powierzają codziennie najtrudniejsze sprawy swojego życia.

Nie wszystko można w życiu przerobić na groteskę, nie ze wszystkiego można się pośmiać. I nie jest stosowna błazenada tam, gdzie potrzebna jest wrażliwość i ogromna odpowiedzialność autora za każde napisane słowo.

Metafora poetycka rządzi się oczywiście swoimi prawami, a fabuła wiersza nie zawsze przecież odczytywana bywa dosłownie. Czasem jest po prostu znakiem, symbolem tylko. Młody poeta zapewne o tym wie i nie naszą jest rzeczą pouczać go o tajnikach pisarskiego warsztatu. Tym niemniej licząc się z dosłownym odczytaniem wiersza jako paszkwilu na nasze organa sprawiedliwości nie możemy przejść nad nim do porządku dziennego. Zaprezentowana przez autora nonszalancja w ujęciu tematu, a już szczególnie bałamutna moralnie filozofijka wiersza, nie jest w naszym przekonaniu — społecznie obojętna. Może sobie młody, najbardziej nawet utalentowany człowiek, tak właśnie widzieć rolę sądu i oskarżyciela w toku procesu sądowego, może sobie pisać o tym wiersze, ale czemu nikt mu nie odesła odwrotną pocztą do domu z rzetelną opinią, która musiała być w tym wypadku pryncypialna, jednoznaczna i surowa? Zamiast takich zabiegów — właściwych przecież w pracy redakcji pisma literackiego — kieruje mu się wątpliwy w wymowie moralnej, a szkodliwy w znaczeniu społecznym wiersz na łamy.

Młody, zdolny, być może nawet obiecujący poeta od kogoś przecież musi się dowiedzieć, że zadaniem sądu jest dowiedzenie winy i wymierzenie sprawiedliwej kary, a nie ot takie sobie skazywanie ludzi, którzy trafili na ławę oskarżonych. Być może trzeba mu było także wytłumaczyć, że głupawa pogwarka dzieląca ludzi na tych, którzy są skazani i tych, którzy skazani będą, niekoniecznie musi stać się częścią własnej filozofii i własnego widzenia świata.

Smutne to, że zamiast dyskusji nad wierszem, skierowano go po prostu do druku, czyniąc tym właściwie największą szkodę samej poezji, wypaczając jednakże po drodze społeczne wyobrażenia o pracy sędziego i prokuratora, pomijając już uwłaczające słownictwo utworu.

Za złe wiersze na szczęście nie sądzi sąd, a opinia publiczna, której dajemy właśnie świadectwo. Jej wyroki bywają surowe i dotkliwe.

Nie sprawdziły się na szczęście „przepowiednie” złowieszczonego *Prawa i Życia*. Opinię publiczną „reprezentował” tylko ówczesny sekretarz propagandy KC PZPR (i ludzie jego kręgu), który na comiesięcznym spotkaniu z redaktorami naczelnymi ważniejszych czasopism w Polsce publicznie potargał wiersz poety oraz SB, która spełniła swój psi obowiązek, czyli dokonała przesłuchania młodego debiutanta. Ina-

czej jednak zareagowała prasa. Samo *Życie Literackie* piórem **M. A. Styksa** dość rozsądnie i ironicznie kontratakowało w artykule pt. *Poezja — getto?*; a w innych czasopismach typu *Literatura*, *Tygodnik Kulturalny*, *Miesięcznik Literacki* czy *Nowy Wyraz* poczęły się ukazywać coraz częściej wiersze poety, choć czasami pocięte przez cenzurę.

Aż przyszedł rok 1979 (w tym roku autor ożenił się z panną miłą i cnotliwą, która wywarła w pewien sposób wpływ na jego poezję — vide *Sentymentalnie, banalnie* poświęcony rodzinie). Do tego czasu drukował Basiaga w prasie literackiej. Przyszła pora na debiut książkowy. Powstało nieco wcześniej młode wydawnictwo — Młodzieżowa Agencja Wydawnicza, która miała drukować rocznie ok. ośmiu — dziesięciu debiutów poetyckich. I tak naszemu poecie znany poeta **Tadeusz Śliwiak** zaproponował udział w konkursie na wydanie debiutu poetyckiego. Marek Basiaga przygotował zbiorek dla Wydawnictwa Literackiego, ale starszy kolega przekonał go, wysłał go do MAW-u. Mimo dość licznej konkurencji (ponad sto propozycji) wiersze Basiagi zostały wybrane do druku i tak powstała pierwsza jego książka poetycka pt. *Dysonans*. Jednocześnie pracował poeta nad drugą książką przeznaczoną dla Wydawnictwa Literackiego.

A oto jak ocenił debiut książkowy pt. *Dysonans* na łamach prasy literackiej krytyk **Andrzej Żmuda**:

Postulat ten (szansę na samodzielny głos, na rozpoznanie własnej osobowości) najpełniej spełnia Marek Basiaga. Jego debiut to dojrzała myślowo i uczuciowo wędrówka po coraz mniej słonecznych obszarach pamięci: prowincjonalnego miasteczka, dziadka z ułożonymi w niepodważalny system prawdami i opowieściami, w historię i erotykę. Zauroczenie chwilą, która przemija, niemal w oczach, jest u Basiagi silniejsze aniżeli biologiczny strach przed śmiercią. Utożsamia ją z sensem życia, dzięki niej urok i równoczesny tragizm zyskują ciepłą, subtelną barwę. Traktowana z dystansu, z lirycznym humorem, pełna aluzji, niedopowiedzeń, zderza w sobie jakby dwa światy, bez których obejść się nie można: sens własnej intymności i wydarczenia wielkiego świata. Tu najbardziej dochodzą do głosu owe „dysonanse” i „przeinaczenia”, przekorne widzenie świata, jakby odwróconego do góry nogami, przy czym zawsze wypatruje z niego ludzka twarz, prawdziwa w swym gorzkim i radosnym spełnieniu.

Zacytujmy prawem przykładu tytułowy wiersz, w którym tak znajome, obłaskawione i swojskie buty nabierają nieoczekiwanie ironicznego i dramatycznego znaczenia:

Dysonans

*przychodzi taki łeppek do mnie
w czasie pracy
na zajęciach bibliotekarskich
i bełkocze
Panie
Pan widział takie buty
(tu nieokreślony bliżej gest)
takie z zamkiem
dookoła buta
(zbyteczna tautologia i niezręczność)
Panie
(znovu)
bo ja nie widziałem*

*uśmiecham się dyskretnie
łeppek nie wie
że koło jest jednym z podstawowych
archetypów tańca ludowego
ze spirala biegnąca wokół buta
jest cudem wypadkowych przemyśleń
podobnych kretynów
będących na niższym etapie rozwoju
naszej cywilizacji
że butem można zmiażdżyć
jądra drugiego człowieka
że itd.*

*co za cholerny idiota myślę
i zaciągam się głęboko papierosem*

Następny z kolei tomik pt. *Bez powrotu* ukazał się w roku 1980 we wspomnianym Wydawnictwie Literackim. Niestety, wszedł on na rynek w niezbyt sprzyjającym dla poezji okresie — w czasach strajków sierpniowych, powstawania Solidarności, a także przyznania **Czesławowi Miłoszowi** literackiej nagrody Nobla. Pisma pełne były problematyki politycznej i społecznej, mniej natomiast zajmowały się tematyką literacką z wyjątkiem osoby laureata, którego ongiś rzetelnie ignorowały. Młoda po-

ezja — z wyjątkiem propagandowej i publicystycznie „gorącej” — miała trudny żywot. Niemniej jednak tak recenzje wydawnicze, jak i w fachowym czasopiśmie były dla *Bez powrotu* obiecujące.

Krytyk **Monika Malessa** w *Nowych Książkach* bardzo wnikliwie potraktowała tomik Basiagi, dlatego pójdziemy za jej głosem twierdzącym, że książka jest bujną paraboliczną egzegezą Domu. W artykule *Dom czyli rodowód* twierdzi:

Bez powrotu staje się zbiorem konsekwentnie monotematycznym, spójnym, staje się swoistą przypowieścią o Domu.

Dom opisywany jest z perspektywy dziecka, jego zabaw i przeżyć, i w ten sposób nabiera podwójnego znaczenia — jest nie tylko miejscem skupiającym rodzinę, stanowi wartość sam w sobie — pokoje, zakamarki, korytarze nabierają we wspomnieniach szczególnej wagi — są nie tylko miejscem, które służyło codzienności, ale także zamkniętym i tajemniczym światem:

*pokoje miały przed nami
wielkie sekrety
które na próżno
staraliśmy się przeniknąć*

(Pokoje)

Dom pulsuje swym własnym rytmem, jakby niezależnie od życia ludzi. Ten rytm niezauważalny dla dorosłych najlepiej umiemy wychwycić dzieci, stąd — jak wspomniałam — poznajemy dom poprzez ich wrażliwość i właściwą tylko dzieciom umiejętność poznawania świata. Dom nabiera niezależnego bytu, zaczyna egzystować samodzielnie przyjmując i wchłaniając ludzi

*tylko najstarsi
wierzyli w jej
wieczny ogień
który podobno płonął
że nikt ich nie zliczył (...)*



czeka i czeka
tłąc w duszy drobny ogienek
marząc o znajomym
który może kiedyś będzie potrzebował
jej schronienia

(Kuchnia)

Przez dom przechodziły pokolenia, codzienne czynności miały oprawę ceremoniału a urodziny, wesele, śmierć znaczyły jego historię. Dom jest nie tylko światem dziecięcych zabaw, staje się również miejscem, w którym beztroska ustępuje dojrzałości, a treść sekretów staje się gorzka. Dom staje się metaforą ludzkiego losu, przemian, jakie zachodzą w człowieku.

Lecz dom to także, a może przede wszystkim, rodowód bohatera, jego przepustka do życia, jego korzenie, przeszłość, która określi przyszłość. Jego los zostaje wpisany w zbiorowy los rodziny. Bohater uwikłany w tragiczną, naznaczoną wrześnie młodość ojca, w przyćmioną mgłą zapomnienia młodość dziadka, usidlony karciyanymi wróżbami babki, która „rozdawała królewskie tytuły i zaczarowane jabłka”, jest na trwałe z nimi związany.

Basiaga odszedł od popularnej w młodej poezji manii kreowania podmiotu wierszy na „indywidualistę”, który rozszarpuje swoje skomplikowane „ja”, gubiąc je w metaforach i wykrzyknicach.

Mamy za to uchwyconą zależność losu bohatera od przeżyć i doświadczeń przodków. Poeta ukazał, jak wiedza i mądrość żyjących składa się doświadczeń już zaznanych, z porażek już przeżytych. Ukazał, jak w młodzieńcze zabawy wplatają się gorzkie doświadczenia rodziny, jak pryska nagle beztroska stłumiona „ukradkiem otartą łzą ojca”. (...)

Jak odróżnić śmierć od narodzin, jak oddzielić prawdę od mitu? — pyta bohater. Ale czy można oddzielić to, co było naprawdę od naszych marzeń i zamglonych przez czas wspomnień? Czy możemy uchwycić ten moment, gdy do zdarzeń dzieciństwa zaczynamy dopisywać niespełnione nadzieje?

my wszyscy
tak urodzeni w mitach
błąkający się

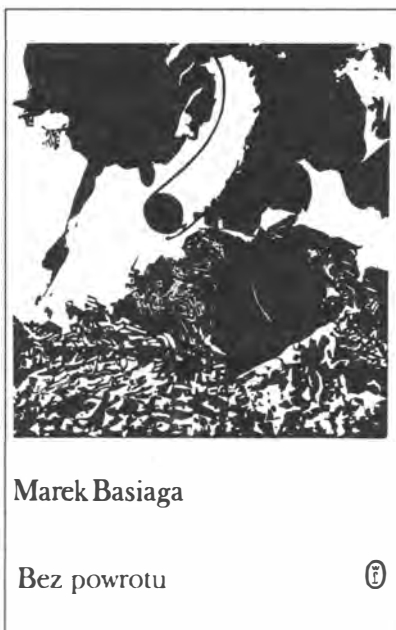
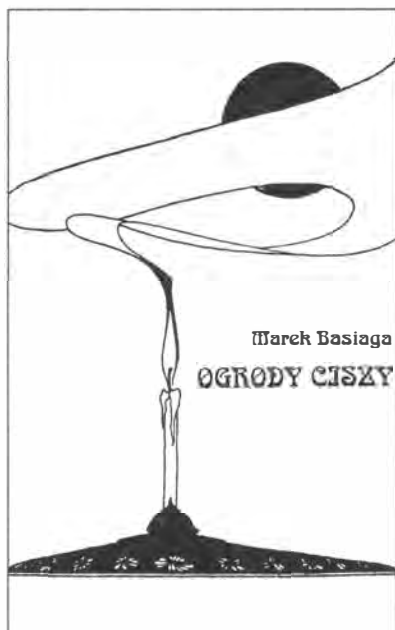
w nie swoich pokojach i wojnach
mylący śmierć z narodzinami

Mit jest po to, by ubarwić i nadać większego znaczenia temu, co powszednie, mit jest nam potrzebny. Dlatego nie dziwi wcale obraz Domu, jaki przedstawił Basiaga. Jest on przesycony niezwykłością i gra wszystkimi barwami, jakimi nasycił go czas i tęsknota. To ona bowiem tworzy klimat całego zbioru, nieprzeparta, niemożliwa do opanowania tęsknota za domem, za częstką prawdy, którą w sobie niósł:

tak małą jakby jej nigdy
nie było
i tak wielką
że nie wracać do niej niepodobna

(Ostatnia kartka)

Posługując się fragmentami pełnego głębokich przemyśleń artykułu Moniki Malessy, poświęciłem nieco więcej miejsca tomikowi *Bez powrotu*, gdyż autor i wielu czytelników uważa go obok *Ogrodów ciszy* za najlepsze dokonanie poety.



Przejdę teraz do tomiku pt. *Ulice. Pod powieką czternastolatka* (1992). Zmieniłem trochę chronologię wydawanych tomików. ale wydaje mi się, że wzmianka o *Ulicach* powinna być właśnie teraz, gdyż jest to notabene kontynuacja *Bez powrotu*. Kontynuacja, ale i zaprzeczenie. Bo gdy w *Bez powrotu* analizował poeta Bachelardowską (można tak powiedzieć) przestrzeń utraconego Domu, dzieciństwa, to *Ulice* są dramatycznym zetknięciem się ze światem w samej swej istocie grzesznym, konfliktowym, rozdartym między dobro a zło, wiernością swoim wspomnieniom szczęścia lub ucieczką od nich w nieznanne. Jest to spojrzenie w swej istocie retrospektywne, ale podejmujące „naiwny” punkt widzenia czternastolatka — a co za tym idzie i język, a metaforykę, i zakres wiedzy, i wyobrażeń o świecie — na swe rodzinne (choć podobne do wielu, uniwersalne) miasto, na swoją ucieczkę z bezpiecznego, mimo wszechobecnej śmierci i przemijania, domu. Spośród wyławianych przez Basiągę pozornie niedostrzegalnych dla przeciętnego człowieka elementów, z których składa się codzienne życie na ulicach miasta, uwagę zwracają epizody kojarzące się z ludźmi—dziwakami, niedorozwiniętymi, niebieskim ptakami, włóczęgami, z tzw. marginesem społecznym, np. wiersze o zakapiorze i prostytutce. Autor potrafi zwrócić uwagę na tragizm egzystencji miejscowej prostytutki właśnie, która szczęście swe kojarzy z niedostępnymi pragnieniami młodzian:

Prostytutka (fragmenty)

*nie byłoby ulicy
bez twoich nadętych piersi
kilku zmiętych banknotów
drażniących wieczny
owoc świata*

*bez tych przekleństw i wódki
która na chwilę
pomagała żyć
by później
grzeszyć świętością(...)*

*galicyjska drzazgo
naszym matkom odbierająca
uśmiech z twarzy
ojcom złotówki
a nam zdrowie i przyjaźń*

za fałszywy banknot namiętności

*ale bez ciebie
jakaś część świata
byłaby rzuconym kamieniem
którego jak wiadomo
nikt na siebie nie podnosi (...)*

Są również wiersze o znanych — być może sądeckich — rzemieślnikach, nauczycielach, wiatropędach, zakamarkach i zakątkach miejskich. Jest to próba odejścia tam, gdzie słońce i wiatr, próba opuszczenia miasteczka, które jest tylko okrucmem pamięci o zmarłych, o rozbitym domu, klęsce i tragizmie pierwszej miłości. Dlatego w cyklach migają nam twarze matki, ojca, dziadka, znajomych i zabitej na ulicy dziewczyny — „*wiecznie dwunastoletniej*”.

Nie wiem dlaczego autor wydał ten tomik dopiero tak późno, ale wpływ na to miało prawdopodobnie długie milczenie poety. Pomiędzy drugim tomikiem *Bez powrotu* a trzecim *Sentymentalnie, banalnie* minęło aż osiem lat. Nie chcę tego upraszczać politycznymi frazesami (np. emigracją wewnętrzną), ale tak długi okres milczenia ma swój wymiar. Zwłaszcza, że *Ulice* miały ukazać się tuż po *Bez powrotu*, a więc prawdopodobnie w latach 1981 lub 82.

Otóż *Sentymentalnie, banalnie* (1988) jest liryczno-filozoficzną sagą rodzinną, poszczególne tytuły są tylko uniwersalnymi i najprostszymi znakami odwiecznej historii, która wiadomo jak się kończy. „*Narodził się dla nas kosmos*” — powiada poeta, ale jednocześnie, czy w poetyckiej, i w każdej, rodzinie, można być zawsze sobą, wiernym i tklwym. Co czeka nas nazajutrz, jak przyjmujemy tę trzecią, a później i dalsze osoby, które są z naszego ciała, czy potrafimy wychować je bez bojaźni dla świata:

*z nadzieją choć nie mówi matko
z miłością bez słowa ojciec
nie znając świata
ufa mu
i nie wie
ile w nas musi być siły
by mogło w niego uwierzyć*

(z cyklu: *Dziecko*)

Czy potrafimy sobie dochować wierności i miłości w życiu, czy nie uciekniemy w przestrzeń grzechu przed starością, czy godnie umrzemy, i co po nas zostanie, czy uda się odnaleźć to, co najważniejsze:

(...) i co ważniejsze

ich śmierć czy ludziom bliska galaktyka

zapomnienie czy rosnąca obcość między dłońią

a domem

wołanie dziecka czy wojna

którą udało im się przerwać na moment

(Mężczyzna i kobieta)

Wiersz w zbiorze jest prosty, pozbawiony zbędnych ozdóbek, lakoniczny, a przecież ironiczno-tragiczny, czy bezpretensjonalnie liryczny, jak w Oktostychu:

Oktostych

najjaśniej rodzi kobieta

jest jak nieustanna pieśń drzewa

najczyściej dojrzewa słońce

przeświała południem twój lęk

najtrudniej umiera człowiek

jego owoce nie potrafią go przeżyć

najszybciej ginie miłość i poezja

czyż nie są motylem niezbudzonego dnia

I mimo, że wiadomo, czym kończy się los ludzki, mimo prostych, a zarazem dramatycznych pytań stara się Basiaga być poetą nadziei, choć coraz węższej. Można też dodać, że jest to w pewnym sensie tomik autobiograficzny, oczywiście projektujący i przyszłość (cykle *Starość i Śmierć*), gdyż zadedykowany jest „Zosi i Trójce”, a więc żonie i dzieciom.

Następnym tomikiem były wspomniane przeze mnie *Ullice*. W następnym roku (1993) drukuje poeta arkuś poetycki: *Mówić: motyl w Almanachu Sądeckim nr 2*. Wyjątkowo nie będę go omawiał, gdyż wiersze w nim się znajdujące zostaną potem wykorzystane w dwóch następnych tomikach poety: *Ogrody ciszy* i *Kto stoi w burzynie* (choć ich zbitka nadaje arkuśowi inne sensy). Wypada przy tym zaznaczyć, że zapoczątkowana została w ten sposób rubryka poetycka w tym cenionym kwar-

talniku, a spektrum drukujących autorów jest coraz bogatsze.

W roku 1993 wydał Marek Basiaga wspomniane *Ogrody ciszy*. Jest to pozycja wyjątkowa, „*poezja wartościowa i mądra*” jak w recenzji wydawniczej pisał **Andrzej Krzysztof Waśkiewicz**, znany znawca poezji współczesnej. Z wydaniem tego tomiku Basiaga miał dość kłopotów. Przesłał go, oczywiście, bliskiemu sobie Wydawnictwu Literackiemu w r. 1986 i, po bardzo przychylnych recenzjach właśnie A.K. Waśkiewicza i znanego krakowskiego poety **Krzysztofa Lisowskiego**, przyjęty do druku, ale na rok 1990. W tych latach jednak Wydawnictwo Literackie przechodziło zmiany strukturalne z powodu nowej sytuacji gospodarczej i tomiki poetyckie jako niezbyt rentowna inwestycja nie stały na pierwszych miejscach w planach wydawniczych oficyny. Poeta nie chcąc czekać na ponowną „łaskę” dla poezji zdecydował się wycofać z pewnego, choć spóźnionego druku i samemu znaleźć sponsora. *Jakoż popełniłem wówczas błąd* — tak wspominał poeta, gdyż tomik, *Ogrody ciszy*, wydany własnym sumptem dzięki wydatnej pomocy wybitnego malarza sądeckiego Stanisława Kuskowskiego, nie mógł liczyć na szeroką ogólnopolską dystrybucję; rozchodził się po znajomych krytykach, pisarzach, przyjaciółach, bibliotekach, a oficjalnie jakby w połowie zaistniał. Taka jest cena własnych wydawnictw, no i, oczywiście, zbytcej niecierpliwości autora. Tomik ten, wedle słów K. Lisowskiego, jest absolutnie spójny, gdyż autor przyjął konsekwentną postawę „ja” lirycznego wobec świata jako pewnego tekstu kulturowego

*„mój świat
istnieje tylko
przez mnie”*

W ten sposób odczytywane są lektury, podróże, doznania zmysłowe, cała kultura ludzka jako pewien rodzaj doznania estetycznego, a zaduma nad przemijaniem, zgoda na kruchość i nietrwałość istnienia, na umieranie świata i rzeczy czyni z tej poezji prawdziwą paletę propozycji filozoficzno–ekspresyjnych:

*Dzień spędzony z pismami Augustyna
Zapomniałem o czekających przyjaciółach
O powrocie do domu
Usiadłem w słońcu nad brzegiem rzeki
Samotny bez wiary w duszy
Bezradny wobec nicości i czasu
Cisza panująca wokół odwiecznych drzew*

*Jednostajny plusk rzeki
Spłynęły na mnie poznanie
I spytałem po co tutaj jestem
I otrzymałem odpowiedź*

Co się stało ze zbiorowym podmiotem lirycznym z *Bez powrotu* czy *Ulic*. Dom rozsypany na zbutwiałe szkielety, stara ławka w parku jest trwalsza niż życie człowieka, a postać z marmurowej kolumny, jak i dawno już zmarły nauczyciel wzywają do swego świata. Rozpad mentalnego świata jest totalny, niegdysiejszy optymizm poety zagłuszył już lęk przed czymś tajemniczym, transcendentnym, ale — o dziwo — nie niepokojącym. Zgoda na swoją chwilowość, niedojrzałość, niedopełnienie aż do końca spotykają się z trudną akceptacją nietrwałości swojego ciała, życia, poezji — po prostu istniejącego wokół i wewnątrz nas świata. Powstaje opozycja — tragizm niebytu, czy samoakceptacja tego tragizmu. Opozycję tę ukazują dwa znamienne tematy:

Alternatywa

*Nic nie zabierzesz ze sobą
Obcy jest dzień
opuści cię jak odcisk stopy
na piasku
Obcy człowiek
widziałeś krwawił mu oddech*

*Z tamtej płaszczyzny brzegu
nie zobaczysz
odbicia w wodzie
wspólne powietrze
zadławi cię bez tego co zostawiłeś
a co nazywano tobą*

Jest to przecież prawie niemy bunt przeciwko rzeczywistości, ale ukazuje się i daleka perspektywa zgody na „nic–nie–zostawienie”, na śmierć ludzką, jak i poetycką:

*Manuskrypty średniowiecznych benedyktynów
są trwalsze niż moja myśl
Rozsypuje się pod palcami klasztor z zimnej cegły
łacińskie zdania i pragnienia
zamykają mnie w enigmatycznym blasku świecy*

*Mój głos
coraz bardziej w nich zanika*

*Taka jest kolej rzeczy świata tego
i taka kolej umierania
Nieważne czy ktoś pochyli się nad rękopisem mego ciała
odczyta go
bystrą myślą*

*Mój głos w ciszy świecy
nie musi być zapalona*

Myślę, że ta walka między trudem zaakceptowania rozpadu siebie i całego człowieka świata (we wcześniejszej poezji Basiagi były tematy sakralne: Dom, Ulice, Rodzina, Tradycja, Słońce i Wiatr), ta próba wyjścia naprzeciw podstawowym pytaniom egzystencjalnym, w końcu dramatyczne pogodzenie się z regułami uniwersum, z losem, który nam wszystkim przynależy jest najwartościowszym wątkiem tomiku. Wiersz Basiagi jest płynny jak owa mowa oratora, jasna, bogata i zaskakująca metaforyka, wyciszenie, a nie sztuczne dramatyzowanie sytuacji lirycznej, próba dotarcia do gnomy, jasności, do źródła znaczenia bytu ludzkiego i słowa jest najwartościowszą cechą tego bogatego w przemyślenia, i w świetne wiersze zbioru. Nadzieja może tkwić w poezji jeśli się uda:

*tak mówić
aby śnieg rozkwitał w jabłoni
słowa
a człowiek
przystanął*

*spojrzeć w oczy
w nich odnaleźć*

*jedyny swój początek
przez chwilę
nie spisaną na straty*

Kolejnym zbiorem Marka Basiagi był tomik pod tajemniczym tytułem *Kto stoi w bursztynie* (1995). Poszerza on obserwacje i konkluzje *Ogrodów ciszy*, nawet je zaostrażając. Tomik ten został wydany w *"Biblioteczce Almanachu Sądeckiego"* jako pozycja pierwsza. I znów jest w nim choć próba zatrzymania czasu, znalezienia sensu egzystowania, sensu słowa poetyckiego, choćby miało się to skończyć tylko śmiertelnym, ale w pewnym sensie nieskończonym bytowaniem:

kto stoi w bursztynie

*Zapisać sobie choć jedną chwilę
Prawdziwą
Tylko swoim głosem wypełnioną
Przeżyć ten moment
Który owad doznaje
Gdy pochłania go miodna żywica
By zatrzymać dla światła*

Otóż to, *"zatrzymać dla światła"*. Być wiecznym jak odprysk na płótnach holenderskich mistrzów, ciepłem kropli wina na kielichu, który po tobie zopstanie, bo przecież wiadomo, że:

*I tak po zimie nastąpi wiosna
A potem lato
I skończą się żniwa o nieprzewidzianej porze roku
(Pory roku)*

Cień śmierci wisi nad bohaterem lirycznym tekstów, jest prawie namacalny (patrz *Winda, Antykwariat, Umieranie, rodzenie* i in.), przejawia się w pamięci o osobach, które znaliśmy, odbija się w rzeczach, które dotykaliśmy, miejsca, które zwiedziliśmy wydzielają zatrutą woń. Dziwny jest ten pesymizm autora, dziwna ta zgoda na znikanie, milczenie, odejścia, ucieczki, całkowitą samotność. Dziwny jest ten wszechświat, gdzie nie ma nic takiego, na czym można byłoby się oprzeć, zawierzyć komuś, wypowiedać swoje „ja”.

Nadzieja tkwi w motywie ikaryjskim, w jego locie ku niemożliwości, a może też

jedynie złuda wytworzona przez poetę:

Noktum IV

*Nie jesteś trwalszy niż ten motyl
Który zrywa się jak Ikar do słońca
I choć w objęciu ognia
Rozpadnie się na czarne nic nie mówiące skrawki
Zdąży napisać swoimi skrzydłami
Leciałem tam gdzie los mnie wezwał*

*Chciałbyś móc tak raz wykrzyknąć w swoim dniu
Szczere dotrzeć z płomieniem w sobie do upadku
Bez tajonej bojaźni,
Bez zwątpienia*

Nie wiem, czy w koncepcji poetyckiej Basiagi ktoś dostąpi tego Ikarowego szczęścia w upadku. Może zostaną po nas tylko przedmioty, wśród których — jak powiada **Franciszek Starowieyski** — człowiek jest tylko epizodem.

Wiersze w tomiku są klarowne, jasne znów bez zbędnej ornamentyki, wyciszone. Chciałoby się rzec, że Basiaga jest poetą metafizyki ciszy. Może wśród pesymizmu istnieje jeszcze Bóg (sprawa religijności i religii w wierszach, jak i stosunku do Natury czy filozofii wymagałaby obszerniejszego potraktowania):

*(...) to lekkie muśnięcie przestrzeni
Wieczny jak życie pyłek rdzawego kwiatu
Wprowadzi cię na jego ścieżki
Aby ujrzeć
Aby usłyszeć
Aby oślepić cię jedyną prawdą*

(wiersz bez tytułu)

W chwili, gdy piszę te słowa, wyschły właśnie okładki najnowszego tomiku poety pt. *Dwie drogi*, wydanego przez znaną krakowską oficynę **Baran i Suszczyński**. Zbiór ten jest próbą odpowiedzi znów na podstawowe ontologiczne pytanie: kim jestem, co bardziej przynależy życiu człowieka (poety?) bunt czy mądra, choć gorzka samoakceptacja. A jednocześnie:

*(zrozumienia) co nas łączy
Dzieli
Odróżnia od obcości świata*

Który jest w tobie

*Nie starając się ukryć dziecięcej naiwności ciągle ponawianej próby
Pierwszego zdziwionego spojrzenia*

(Wiersz pierwszy /bez poprawek/)

Tomik ten wprowadza nowe wątki w najnowszych dokonaniach poety. Po raz pierwszy pojawiają się wiersze o niszczącej podmiot liryczny chorobie sercowej, niewytłumaczalności sobie strachu przed bliskim końcem, pytaniem o to, jak się zachować — utrzymując perspektywę poetycką — zbuntować się, czy zaakceptować swoją niedorzeczność, niepełność, nietrwałość. I poeta nie daje jak zwykle odpowiedzi wprost, uważna analiza wierszy skłania mnie do przypuszczenia, że mądra akceptacja swojej nikłości wobec świata, którym rządzą nieznanne nam prawa pełne tajemnic i nieprzenikalności jest jedyną drogą do osiągnięcia pełni człowieczeństwa. Bo człowiek pełny to ten, który uświadomił sobie swoją ułamkowość, nieznaczność i dzięki temu uświadomieniu wydaje się być paradoksalnie pełnym człowiekiem. Jak złudna jest wiara w poznanie rzeczy i panowanie nad nimi ukazuje poniższy wiersz, jedna z perełek tego zbioru:

Jastrząb kołuje nad myszą polną

Jego lot jest coraz bardziej precyzyjny

Przemyślany

Futerkowy gryzoń nieświadom niczego

Gryzie ziarno i błogostawi Boga

Ostatnie chwile jego życia

To cicha nadzieja i wiara w przetrwanie

I nawet ostry świst powietrza

Nie zmieni uczucia szczęścia i spokoju

Jastrząb błogostawi swego Boga

Do doświadczeń poetyckich Marka Basiagi wkrada się ostro świat natury. Epizody z życia zwierząt są symbolem ludzkiego niepewnego losu. Przy czym wspomniany motyw choroby i umierania jest z nim bezpośrednio związany.

Nasze ludzkie życie nie pozostawia po sobie nic, albo niewiele, chociaż to może to właśnie jest najważniejszym argumentem za samoakceptacją trudnego i szybko traconego życia:

(...) Koszula w kratę

Nie lubieś jej pachniała jak świat więzieniem

Przebita tenisowa piłka

*Jej lot nie przetrwał twoich dni
I czyjaś rozdarta w gniewie fotografia
Twarz wyblakła nie pozdrawia cię tak jak zawsze*

*Ale nawet to
Tak niewiele i tak krucho banalne
Było kiedyś twoim nerwem
I nikt nie może powiedzieć
Czy nie stanie się
Jedynym argumentem na twoją obronę
Gdy usłyszysz*

(Trzydrzwiowa szafa)

Ten eschatologiczny wiersz przyznający, że nad nami (może w nas?) musi istnieć jakiś Głos, Głos, który możemy w każdej chwili radości, zwątpienia, smutku, niewiary, odejścia, kary usłyszeć — ten właśnie Głos identyfikuje nasze człowieczeństwo

Życie bez wyższego prawa moralnego stałoby się nic nie wartym epizodem, nic nie wartą karteczką z wierszem, a więc ponad poezją — i co za tym idzie — poetą, musi istnieć jakiś Ład, którego nam nie postrzec nie wolno. Ponieważ dla Basiagi najważniejszym wydaje się to, by:

*(...) Doznać tej chwili
Gdy słowo staje się
Ciałem*

(wiersz bez tytułu)

oraz

*(...) Musisz wszystkiego doznać
Przeżyć
Pokochać
By dano ci w momencie nieoznaczonym
Prawo do krzyku
Byłem
Byłem
Byłem*

(wiersz bez tytułu)

Tomik *Dwie drogi* porzuca „ja” liryczne, zwracając się bezpośrednio do drugiej osoby. W pewien sposób poeta odcina się od własnych tekstów, a świat tomiku poetyckiego nakierowany jest na wrażliwość i akceptację poznawczą czytelnika. To jemu proponuje się trudny humanizm, zgodę na cierpienie, człowieczeństwo w chwili

li śmierci, dając w zamian jedynie przeżycie estetyczno-filozoficzne. Dlatego też poeta staje się trochę trudniejszym do odczytania niż było to na początku drogi, ale satysfakcja z obcowania z taką poezją staje się większa.

Jerzy Wideł pisał kiedyś o poezji Marka Basiagi

„Prezentowane tutaj wiersze pochodzą z ostatniego, bardzo twórczego i płodnego okresu tego wybitnego poety Polski południowej. Wyrażają egzystencjalny niepokój artysty, jego niezachwianą wiarę w dobroć i solidarność prostego człowieka. (...) W swojej poezji, stosując niejednokrotnie cienkość aluzji, rozprawia się z postawami małoduszności ludzi, donosicielstwem, cynizmem. Bogaty i pełen wrażliwości świat przeżyć poety jest pełen genialnych skrótów myślowych, ale jakże czytelnych i barwnych. W wierszach podkreśla uniwersalną wartość religii, Stwórcy świata. Nie jest to bynajmniej koniunkturalne. Wynika z przeżyć i doświadczeń poety.

Reasumując, ostatnie wiersze Marka Basiagi wskazują, że (...) codzienność daje mu znakomite tworzywo, które po oszlifowaniu artystycznym skrzy się niczym perła. Okazuje się, że i ta szara codzienność ma w sobie wiele uroku, tajemnic. Wystarczy po to sięgnąć, ale do tego trzeba się urodzić artystą, poetą.”

Wracając do problemu postawionego na początku artykułu, wydaje się, że poprzez swoją uniwersalność, klasycyzm, odwieczność tematyki, materią codziennego otaczającego nas życia poezja Basiagi nie wymaga otoczki w postaci większego miasta, intensywnego życia kulturalnego czy wspólnej wymiany doświadczeń twórczych. Zresztą dwie antologie wydane w Krakowie pt. *Poezja, gwiazdy i tokaj w Jamie Michalika* czy *Poezja i gwiazdy na Kanoniczej*, gdzie nasz bohater drukuje swoje utwory wśród tak uznanych poetów jak **Wisława Szymborska**, **Ewa Lipska**, **Czesław Miłosz**, **Julian Kornhauser**, Krzysztof Lisowski, **Bronisław Maj**, czy Adam Ziemianin wskazuje na dość interesujące związki sądeckiego autora z bogatym w możliwości artystycznej ekspresji ośrodkiem kulturalnym.

Podsumowując ten skrótowy z konieczności esej o poezji Marka Basiagi mogę stwierdzić, że od buntu (*Dysonans*) poprzez poszukiwanie straconego czasu (*Bez powrotu*, *Ulice*) próbę stworzenia oparcia w kosmosie małżeństwa (*Sentymentalnie*, *banalnie*) poezja poety uklasycyzowała się, ale za to pojawiły się wątki przemijania, śmierci, zagłady, niebytu. Na szczęście nie kończy się to całkowitą negacją życia, bo cóż by wartą człowiek, gdyby nadzieja na ostatni głos, na próbę ostatniego słowa została mu odebrana. A poeta nadzieję tę stara się podtrzymać.

**Prezes Warszawskiego Klubu Przyjaciół Regionu Nowosądecki
Wanda Straszynska Skrzyszewska**

Do redakcji „Almanachu Sądeckiego”

Od dłuższego czasu wybieram się napisać do Waszej Redakcji, ażeby wyrazić w imieniu swoim i członków Warszawskiego Klubu Przyjaciół Regionów Nowosądecki słowa uznania i wdzięczności dla Waszej pozytywnej działalności poświęconej Sądeczynie. Robicie to ładnie, rzetelnie i z pasją!

My Warszawscy Sądeczanie, od 37 lat staramy się utrzymywać więź z naszą Ziemią Rodzinną. Co roku jeździmy do Nowego Sącza i cieszymy się, jeżeli coś zmienia się tam na lepsze, a ubolewamy, jeśli coś się nie udaje. Był taki okres, kiedy włączaliśmy się czynnie w prace mające na celu rozwój naszego miasta i regionu. No, cóż — wiele czynników złożyło się na to, że nasze działania są obecnie słabsze, ale nadal jesteśmy gotowi, w miarę naszych możliwości, służyć Sączowi.

Wasze pismo jest nam bardzo potrzebne. Jest w nim wiele tematów bardzo bliskich naszemu sercu — omawiamy je na zebraniach, uzupełniamy naszymi wspomnieniami.

Ostatnio zainteresował nas artykuł p. Bieńka o Piotrze Kosińskim, wspaniałym człowieku i ogromnie zasłużonym dla Nowego Sącza. Już nie raz mówiłam publicznie, że w Nowym Sączu powinny stanąć dwa pomniki: Piotra Kosińskiego i Bolesława Barbackiego. Dzięki tym ludziom Nowy Sącz nie należał do miast prowincjonalnych i zacofanych.

Dobrze pamiętam obu Panów. Działali za moich młodych lat. Piotr Kosiński był charakterystyczną i barwną postacią. Nosił zawsze czarny garnitur, krawat i czarny sztywny kapelusz, tzw. „dęciak” — nosili go panowie na jakieś uroczystości galowe.

Chodził bardzo szybko, mimo że utykał na jedną nogę, zawsze się spieszył. Był szczupły i niezbyt wysoki. Uczył matematyki w II-gim gimnazjum im. Bolesława Chrobrego, do którego uczęszczał jeden z moich braci (Bronisław). Brat nie raz mówił, że rozbrykane chłopaczyska denerwowali Profesora głupimi pytaniami o „żonę Profesora p. Manię”. Była to służąca Profesora, bardzo brzydka kobieta, ale bardzo oddana Profesorowi. Prowadziła dom Profesora i sprzedawała bilety na imprezy w Sokole. Chłopcy cieszyli się, jak Profesor tupał nogą i podniesionym głosem mówił: „to nie jest moja żona”.

Ja często bywałam w domu Profesora, bo należałam do tej młodzieży, która organizowała koncerty i akademie w Sokole. Profesor zawsze dawał nam salę i to bezpłatnie. Do dziś zachowałam tylko jeden program takiego koncertu. Występowała utalentowana młodzież szkół średnich naszego miasta.

Do dziś mam w pamięci pokój Profesora, cały zawieszony wieńcami i szarfami z jego występów z chórem sądeckim. Za moich czasów młodości Profesor już nie prowadził chórów. Zajęty był remontem Sokoła i prowadzeniem kina. Aparaturę kupił za własne pieniądze. Jego miejsce zajęli Stanisław Bugajski i Marian Rzymek. Bugajski prowadził chóry żeńskie Seminarium Nauczycielskiego, a Rzymek chór męski Kolejarzy. Czasem nas łączono jako chór mieszany, a akompaniowała nam orkiestra 1 Płk. Strzelców Podhalańskich. Mieliliśmy wiele ciekawych koncertów, w których brali udział soliści z Krakowa i Warszawy. Kiedyś dyrygował Feliks Nowowiejski. To właśnie Piotr Kosiński zaszczylił nas zamiłowaniem do śpiewania i muzykowania.

Artykuł p. Bieńka o Piotrze Kosińskim zamieszczony w „Almanachu Sądeckim” nr 2 (15) R. V. chciałabym uzupełnić w miejscu, gdzie p. Bieniek pisze: „Ale treści i formy nowej wolności nie należały do tych, jakie się Kosińskiemu marzyły. Pozostał więc nadal w Krakowie, „na garnuszku” siostry, z dodatkiem marnej emerytury, w sumie 500 zł miesięcznie, podniesionej z czasem, dzięki interwencji któregoś z uczniów drugiej „budy” siedzącego aktualnie w jakimś ministerstwie o 1000zł.”

Otóż tym uczniem, który postarał się o rentę dla zasłużonych był ówczesny minister szkolnictwa, Stanisław Skrzyszewski, sądeczanin i uczeń Profesora Kosińskiego. Znam tę historię z opowiadań samego Skrzyszewskiego: „Jechałem ministerialną limuzyną przez Kraków i ku mojemu przerażeniu zobaczyłem dorożkę konną, a na jej koźle mojego Profesora Kosińskiego. Poczułem się zawstydzony, że ja jadę wytwornym samochodem, a mój Profesor jest dorożkarzem. Kazałem mojemu kierowcy zatrzymać się, żeby Profesor nie widział samochodu i podbiegłem do dorożki. Zobaczyłem obszarpanego Biedaka, ale w krawacie i zapytałem: „Panie Profesorze, co Pan robi?” Uśmiechnął się gorzko z typową swoją łagodnością i powie-

dział „A no widzisz!” Zapisałem adres i natychmiast po powrocie do Warszawy kazałem wciągnąć Profesora na listę zasłużonych z podniesioną rentą. Odtąd byłem spokojny, że mój Profesor i człowiek tak zasłużony dla Sącza ma zapewnione warunki życia.” Wiem, że Stanisław Skrzyszewski kilku sądeckim profesorom takie renty załatwił, a także kilku odznaczył Krzyżami Oficerskimi, które podnosiły rentę o 1/4. Wiem, że prof. Kosiński chciał darować swój koncertowy fortepian Skrzyszewskiemu, ale ten nie przyjął — zasugerował, aby ten cenny instrument znalazł się w Muzeum przy ul. Lwowskiej. Wiem, że tam się znajduje do dziś, zapewne nikt o tym nie pamięta. W muzeum odbywają się koncerty i fortepian prof. Piotra Kosińskiego słyszą Sądeczanom.

Na pogrzeb Profesora Stanisław Skrzyszewski nie mógł jechać, bo był po ciężkim zawale serca — prosił p. Henryka Dobrowolskiego, sądeczanina i ucznia Profesora, aby się zajął pogrzebem, żeby Profesor koniecznie był pochowany na cmentarzu w Nowym Sączu. Dobrowolski (b. Prezydent m. Krakowa) przemówił nad grobem oddając należny hołd prof. Kosińskiemu. Przykro, że grób tak zasłużonego człowieka jest zaniedbany — myślę, że grobem powinno się zająć Towarzystwo Sokół, uczniowie szkół licealnych, a może Klub Ziemi Sądeckiej w Nowym Sączu?

P. Bieniek ubolewa, że cały dorobek kompozytorki prof. Piotra Kosińskiego przepadł — czy to możliwe? Ja pragnę donieść, że jestem w posiadaniu 3 partyturk Piotra Kosińskiego — chętnie je oddam, tylko nie wiem komu? Ktoś w Nowym Sączu powinien zająć się zebraniem tych cennych dla naszego miasta pamiątek.

W przyszłym tygodniu, 25, 26 i 27-go września delegacja naszego Warszawskiego Klubu będzie w Nowym Sączu, na zaproszenie Prezydenta, postaramy się poruszyć sprawę pamięci o tych, którzy zasłużyli się rozwojowi naszego miasta. Powinien po nich zostać jakiś ślad — pomnik lub tablica pamiątkowa. To jest historia miasta! Pomóżmy młodym, żeby mieli się na kim wzorować. Nie tak dawno młody człowiek skarżył się, że nie ma się na kim wzorować, nie ma swego ideału. Bardzo to smutne, że świat się tak zmienił, że tyle zła, ludzie skłóćeni, taki brak życzliwości. Ks. Twardowski w jednym ze swoich wierszy tak mądrze napisał: „Spieszmy się kochać ludzi, tak szybko odchodzą.”

Kończąc załączam pozdrowienia i wyrazy sympatii dla całej Waszej Redakcji — życzę dalszych sukcesów w pożytecznej pracy dla naszej kochanej i pięknej Sądeczyny.



SPIS TREŚCI

Zofia i Marek Basiagowie SZKOŁA PODSTAWOWA NR 9 IM. TADEUSZA KOŚCIUSZKI W NOWYM SĄCZU — ZARYS DZIEJÓW	3
Irena Styczyńska ŚCIBOR ZE ŚCIBORZYC (OK. 1347 — 1414)	16
Józef Bieniek SAGA RODU WOJTYGÓW	22
Julian Klamerus WIOSNA W MUSZYNIE	32
Maria Kowalska ANDRZEJ JANAS	39
Zebrał Wincenty Gawron OPOWIEŚCI O DAWNEJ WSI LIMANOWSKIEJ	45
Jan Zięba 75–LECIE LZS „GRYBOWIA” — Z HISTORII KLUBU W LATACH 1921–71	57
Opracował: Andrzej Wasiak KRYNICA NA STAREJ WIDOKÓWCE CZ. III	62
Leszek Migrąła MAREK BASIAGA — BUNT CZY SAMOAKCEPTACJA?	69
LISTY, OPINIE, POLEMIKI	89

**DRU
KAR
NIA**

PPHU "BAAD" s.c.
ul. Gwardyjska 37
33-300 Nowy Sącz
tel. 41 28 25

drukarnia.



Konto: B.S. Nowy Sącz
237839-136-61

ŚWIADCZY USŁUGI W ZAKRESIE DRUKU:

**ulotek reklamowych, folderów,
metek, etykiet, naklejek,
papierów firmowych,
kalendarzy, plakatów,
metek samoprzylepnych,
opakowań kartonowych
(wielkość ograniczona)**

BAAD

W najbliższym numerze między innymi:

- **Juliusz Mieroszewski publicysta paryskiej „Kultury”**
 - **Błogosławiona Kinga**
-